

STUDENTKA UNIwersYTETU WARSZAWSKIEGO
PISZE O SWOIM ŻYCIU I PRACY. (OB. STR. 5)

Nr 8 (31) — Rok II 24 LUTEGO 1952 Foto „Świat” — P. Kornecka CENA 1²⁰ ZŁ



Za chwilę zapłonie tradycyjny znicz olimpijski, obwieszczając światu otwarcie VI Zimowych

Igrzysk Olimpijskich. Zapala go Eigil Nansen, syn słynnego badacza polarnego — Fridtjofa Nansena.



Mistrz Norwegii sprzed I wojny, Bergendahl, wręcza znicz Nansenowi na ostatniej zmianie sztafety.

OSLO

Specjalny fotoreportaż
Keystone'a dla „Świata”
z Olimpiady Zimowej



Hjalmar Andersen składa uroczyste przyrzeczenie olimpijskie. Trzeci od prawej, chorąży polskiej drużyny — zasłużony mistrz sportu Stanisław Marusarz.

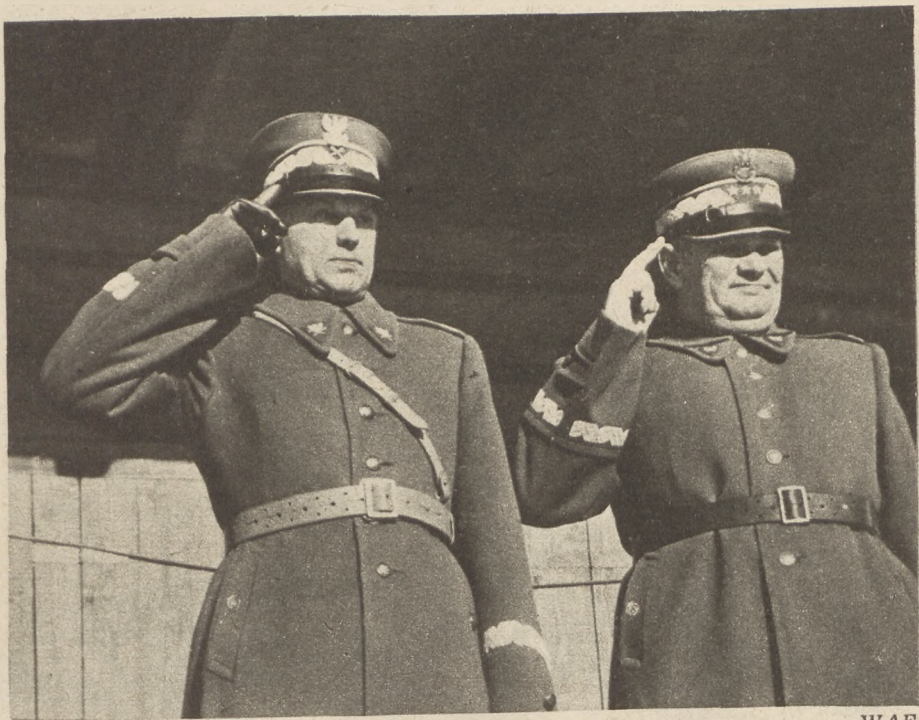


Gąsienica-Roj, który zajmując w zjeździe 22 miejsce, spisał się najlepiej z zawodników polskich. Widzimy go na trasie, na której zwyciężył 50 przeciwników.



Triumfatorzy slalomu-gigantu. W środku zdobywca złotego medalu, Norweg, Eriksen, obok dwaj Austriacy: Spiess (II miejsce) i Pravda (III miejsce).

II ZIMOWA SPARTAKIADA W.P.



WAF

W Zakopanem, na stadionie pod Krokwią, w obecności Marszałka Polski Konstantego Rokossowskiego otwarto II Zimową Spartakiadę Wojska Polskiego.

MŁODZIEŻ DYSKUTUJE



CAF

Cały kraj uczestniczy w ogólnonarodowej dyskusji nad projektem Konstytucji Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Młodzież zetempowska z gromady Drobin zebrała się, aby przedyskutować projekt Wielkiej Karty Narodu Polskiego.

NA GOSPODARCE ZESPOŁOWEJ



CAF

Spółdzielnia produkcyjna w Sośniowicach, pow. Gliwice, została założona w 1949 roku. Kolektywna praca daje dobre rezultaty. Przewodniczący spółdzielni (w czapce) i oborowy oglądają najładniejszą jątówkę własnego chowu.

VICTOR HUGO

(1802—1885)

150 lat temu, 26 lutego 1802 roku urodził się Victor Hugo, sława literatury francuskiej, jeden z największych pisarzy swego wieku.

Twórczość literacka Hugo obejmowała poezję, dramat i powieść; wpływ jego utworów był i pozostaje ogromny.

Kochany przez lud Francji, gdyż umiał wyrazić wolę i uczucia tego ludu, miłowany przez narody świata jako bojownik pokoju i postępu — Victor Hugo czczony jest dzisiaj na całym świecie.

Utwory jego po dziś dzień wibrują szlachetną pasją, wielką miłością ludu i sprawiedliwym gniewem. Oto wyjątek z „Liści jesiennych“, jednego z pierwszych zbiorów poetyckich Victora Hugo:



LIŚCIE JESIENI

Nienawidzę przemocy i zaciskam dłonie,
Kiedy słyszę, że w świata którejkolwiek stronie
Pod niebem niełaskawym, pod królem zbrodniczym
Lud dławiony pomocy przyzywa i krzyczy;
Gdy katom tureckim chrześcijańscy książęta
Wydają Grecję-matkę zakuwszy ją w pętą,
Gdy Irlandia krwawiąca na krzyżu swym kona,
Gdy rozdarta szamoce się w jarzmie Teutonia,
Kiedy piękna Lizbona dawne dni wesela
Wspomina w skrzyp złowróbnym szubienic Miguela*),
Gdy ojczyzna Katona — Albanich**) jest sługą,
A Neapol przyzwala; gdy ciężką maczugą,
Berlem hańby, któremu strach tylko nie przeczy,
Austria kaleczy skrzydła lotnym lwom Wenecji;
Kiedy dusi Modenę arcyksięcia kula,
Drezno walczy u łoża gasnącego króla,
Gdy Madryt ze snu wstaje zgniewany i bliski,
Gdy w niewoli Mediolan i gdy lew belgijski,
Schylony naksztalt wołu, który ugór orze,
I zęby nawet stracił, by gryźć swą obrozę...

Wtedy jakże przeklinam i dwory i wieże
Tych królów, których rumak we krwi stąpa świeżej!
Czuje, że to poeta dni ich sądzi marność,
Ze gniewna oto muza pięścią swą mocarną
Jak z przęgiem — z nikczemnym zespoli ich tronem
I w kleszcze im żelazne przemieni koronę,
I wypędzi tych królów niegodnych westchnienia,
O których z wiersza będą sądzić pokolenia!
Bo muza winna służbę ludom bez obrony.

1831.

Tłum. ARTUR MIĘDZYRZECKI

*) MIGUEL Dom Maria Evarist (1802—1866); w roku 1822 rozwiązał kortezy i ogłosił się królem. W roku 1834 — zrzucony z tronu.

**) ALBANI — patrycjuszowski ród rzymski piastujący wysokie godności kościelne. W XVIII wieku Giovanni Francesco Albani był papieżem jako Klemens XI. Ród Albanich wygasił w roku 1852.



34 LATA ARMII RADZIECKIEJ

Siedem lat temu potężna lawina ognia i stali zmiotła okupantów hitlerowskich z naszej ziemi — zwycięska ofensywa Armii Radzieckiej dała naszemu narodowi wolność prawdziwą i trwałą.

34 lata istnienia Armii Radzieckiej — to historia zwycięskich walk w obronie Republiki Rad, w obronie pokoju. Pod Narwą i Pskowem 34 lata temu Armia Radziecka obroniła młodą republikę przed kajzerowską ofensywą. Później poprzez Carycyn

i Perekop, przez Chasan i Wyborg, przez Stalingrad i Berlin — wiodły bojowe szlaki Armii Radzieckiej; w obronie pierwszego państwa socjalistycznego, w obronie ludzkości przed faszyzmem.

Ściśle związana ze swym narodem, wychowana przez wielkiego Stalina, bliska sercom milionów prostych ludzi — stoi dziś Armia Radziecka na straży osiągnięć wolnych narodów, na straży pokoju świata.

GŁOS W DYSKUSJI

*Powstający, zabijani na nowo
w czasach zsytek, nagłej rozłąki,
z własnego bólu jak z ołowiu
odlewaliśmy czcionki,*

*pod murami, na placach straceń,
kiedy ogień po sercach chlustał
ten, co ginął, razem z krwią wytaczał
paragrafy ludowych ustaw.*

*Każda pięść w strajkowym pochodzie,
każdy okrzyk był nowym głosem
za tą — dziś nam daną na codzień
konstytucją naszego losu.*

*Oto patrz: nikt nie umiera,
choć kula w sercu ugrzęźnie:
pozbieraliśmy jak litery
tych, co trwali do końca mężnie —*

*będą odtąd mocną opoką,
na niej dom nasz na wieczność stanie,
będą mówić po co i dokąd
nasza droga i trud nasz na niej.*

*Nowe prawa tworzymy sami.
żeby szczęścia dosięgnąć — dość ich:
będzie służyć żelazo i kamień
naszej ziemi, naszej młodości.*

HENRYK GAWORSKI



Oto artykuł 61 projektu Konstytucji Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej: „Obywatele Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej mają prawo do nauki”.

Żyję dyskusję teraz...

HELENA SIOPA — studentka U. W.

(Zdjęcia: P. KORNECKA)

Poniżej zamieszczamy list studentki Uniwersytetu Warszawskiego, jako jeden z głosów w toczącej się obecnie dyskusji nad projektem Konstytucji Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Helena Siopa jest córką górniką który przez wiele lat pracował w kopalniach francuskich i poznał dobrze zarówno nędzę w Polsce sanacyjnej jak i wyzysk w kapitalistycznej Francji. List ten jest głęboko szczerym wyrazem przemian, jakie dokonały się w Polsce, przemian, których treść zawiera Konstytucja Wyzwolonego Narodu.

KIEDY było w domu ciężiej, aniżeli zazwyczaj, kwtedy ojciec ogarniał nas wszystkich wzrokiem, mówiąc: „I nam będzie kiedyś dobrze”.

Nie wiedziałam dokładnie, co to „dobrze” oznacza i kiedy ono nastąpi. Dręczyły mnie pytania, na które najczęściej nie mogłam sobie odpowiedzieć.

Ojciec mój do 1933 r. był górnikiem w departamencie Pas-de-Calais (mines Courrieres), w Montigny en Gohelle. Tam właśnie urodziłam się na kilka miesięcy przed otrzymaniem przez ojca nakazu opuszczenia granic Francji w ciągu 24 godzin.

Górnicy północnego zagłębia dobrze pamiętają te lata!

Przyjechaliśmy wówczas do ojczyzny. Jednak nie była to ojczyzna dla nas i dla wszystkich nam podobnych. Trudno było o pracę. By zarobić nędzne grosze — ojciec chodził pieszo do lasu, odległego o blisko 10 kilometrów od wsi, w której mieszkaliśmy.

Te warunki zmusiły rodziców do ponownego wyjazdu do Francji w poszukiwaniu chleba.

W departamencie Somme (miejscowość Le Haniel) pracowali u gospodarza. Mimo pracy od świtu do nocy, w domu było tak ciężko, że wkrótce 14-letnia

Dalszy ciąg na str. 6

siostra Stasia i 16-letni brat, Edek, również musieli stanąć do pracy w polu, a później w lesie.

W r. 1945 ukończyłam szkołę podstawową z wynikiem bardzo dobrym i wyróżnieniem. Największym moim marzeniem było pójść do gimnazjum. Nie wyobrażałam sobie po prostu życia bez dalszego kształcenia się. Nie było to jednak tak proste. I wówczas zaczęłam się zastanawiać, dlaczego córka bogatego gospodarza, mimo złych postępów w nauce, została przyjęta do gimnazjum, podczas gdy będący w tym samym wieku mój brat i siostra spędzali cały dzień przy pracy, która odbierała im siły i zdrowie. Teraz wiem, że inaczej być nie mogło.

Jeżeli ukończyłam dwa lata gimnazjum we Francji, to tylko dzięki temu, że brat i siostra powiedzieli: „będziemy jeszcze więcej pracować“. Ale mimo że w domu wyrzekano się wielu rzeczy, mimo że mama robiła wszystko co było w jej mocy, aby mi pomagać, musiałam i ja na siebie zarabiać. Ciężko było — miałam wówczas 16 lat.

Jeżeli teraz, jako studentka Uniwersytetu Warszawskiego, wspominam swe życie do 17 lat, to

dlatego, żeby lepiej sobie zdać sprawę z tego, co mi daje Polska Ludowa.

Gdy osiedliliśmy się w Wałbrzychu na Dolnym Śląsku, zaczęłam chodzić do gimnazjum. Trudno mi było z początku, ponieważ musiałam sobie przyswoić język. Pomogły mi w tym specjalne kursy dokształcające dla reemigrantów. Koledzy szkolni — to przeważnie córki i synowie górników, robotników, lub biednych chłopów z pobliskich wsi. Było też wiele młodzieży z Francji.

Po zdaniu matury złożyłam podanie o przyjęcie mnie na wyższe studia. Nie wątpiłam, że będę przyjęta. Przecież w Polsce Ludowej dla młodzieży otwarte są wszystkie drzwi. Wystarczy chęć do pracy.

Gdy po raz pierwszy weszłam w bramę Uniwersytetu, już jako studentka, przypomniałam sobie słowa ojca: „i nam będzie kiedyś dobrze“. Pomyślałam o siostrze Stasi, która wyuczyła się zawodu, ukończyła bowiem kurs pisania na maszynie, kurs dla telefonistek, a obecnie, chcąc zdobyć dalsze kwalifikacje, praktykuje jako rachmistrz. Pomyślałam o bracie, który dokształca się na kursach wieczorowych. I o mamie, której marzenie spełniło się również: ma

piękny ogród koło domu i możliwość chowania kur, no i... kozy!

Mieszkam w pięknym, specjalnie wybudowanym dla nas, Domu Akademickim, jednym z wielu wybudowanych i budujących się w Warszawie i innych miastach. Pokoiki nasze są miłe i ogrzane. Mamy wspaniałe szafy, a nawet firanki. Mamy łazienki z ciepłą wodą. Należy przyznać, iż mamy naprawdę idealne warunki do nauki.

Czytałam niedawno, że rektor uniwersytetu paryskiego jest przeciwny udzielaniu stypendiów dla studentów. Czytałam również, jak student, by zarobić na życie, zmywa naczynia w restauracji; o tym, jak dzielna Josette za 100 franków zamyka 30 pokoi w ciągu godziny. Czytając to — pomyślałam o naszych stypendiach, stołówkach studenckich, gdzie wydaje się smaczne obiad po zniżkowych cenach, o naszych wspaniałych świetlicach i czytelniach. Pomyślałam o Bohdanie Kapicy, młodym górniku z północnej Francji, który obecnie studiuje na Uniwersytecie Warszawskim.

W zeszłym roku byłam nad naszym polskim morzem. Cudownie spędziłam wakacje. Co roku nasze Państwo wydaje ogromne sumy, aby młodzież pod-



Jeszcze przed rozpoczęciem nauki zdążyłam wpaść na chwilę do Wałbrzycha, aby odwiedzić matkę.

Marzenie matki spełniło się również: ma teraz piękny ogród koło domu, kury, no i... kozy.



PRÓCZ OJCA, KTÓRY JEST NA KURSIE W ŁODZI, DO KOLACJI ZASIADŁA CAŁA RODZINA:

czas wakacji, czy to na plaży, czy też w gorach, na brała nowych sił do nauki.

W lecie zeszłego roku ojciec po raz pierwszy w swym życiu spędził miesiąc bezpłatnego urlopu w Szczawnicy, jednej z najpiękniejszych miejscowości naszej ojczyzny, tam, gdzie przed wojną bawili panowie, którzy bogacili się na krzywdzie takich biedaków, jakimi byli i moi rodzice.

Obecnie, jak mówi art. 1 projektu Konstytucji, w Polsce władza należy do ludu pracującego miast i wsi — a więc chłopci i robotnicy mogą leczyć się we wspaniałych sanatoriach, domach zdrowia, mogą zwiedzać najbardziej urocze zakątki kraju.

Dla nas, młodzieży, Polska Ludowa urzeczywistnia najśmielsze marzenia. A my pracujemy z zapałem, aby jak najszybciej móc spłacić dług zaciągnięty wobec Państwa i całego Narodu. Jesteśmy wdzięczni za to, co nam zapewnia naprawdę demokratyczna Konstytucja i co wyraża się w słowach:

„Polska Rzeczpospolita Ludowa otacza szczególnie troskliwą opieką wychowanie młodzieży i zapewnia jej najszerze możliwości rozwoju“.

HELENA SIOPA



Konstytucja gwarantuje wszechstronną pomoc uczącej się młodzieży. Odbieram właśnie stypendium...

Mój ojciec ukończy wkrótce kurs, zorganizowany przez Centralną Radę Związków Zawodowych

Przed zebraniem dyskusyjnym na uczelni jeszcze raz zapoznajemy się z treścią projektu Konstytucji.



MATKA, BRAT GORNIK I TRZY SIOSTRY.



RENAUD DE JOUVENEL I ANDRE WURMSER SĄ PEWNI SWOJEJ SPRAWY.

OSKARŻENI DEMASKUJĄ OSKARŻYCIELI

DOMINIQUE DESANTI — Zdjęcia: MULLER

Korespondencja własna „Świata“

KIEPSKO zaczyna się drugi akt afery Krawczyński. Dwie z „gwiazd zachodnich“ chyłkiem wycofały się ze sceny. A jedna z „gwiazd“ pozostałych posuwa się w swej naiwności tak daleko, że wyjawia na piśmie, jak inscenizuje się proces tego rodzaju.

Amerykanie, którzy niedawno przeznaczili 100 milionów dolarów na dywersję w krajach socjalizmu, bardzo liczyli na ten proces — sposobność do kampanii propagandowej.

Ale pierwsze dni procesu nie warte były 5 milionów franków, które trzeba było zdeponować jako kaucję.

Gwoździem pierwsze-go dnia był pechowy list Rumuna Dianu. Oto i on, dyplomata „Królestwa Rumunii“. Wydaje mu się, że składa wizytę na Quai d'Orsay (na tej ulicy mieści się francuskie MSZ). Spodnie w paski, czarny surdut, mina krupiera z kasyna gry (mówiąc delikatnie). Na nieszczęście dla siebie bierze marzenia za rzeczywistość i sądzi, że wszyscy żyją w świecie rządzonym przez emigrantów. Otóż pan Dianu napisał w liście, że mecenas Izard (osławiony adwokat Krawczyński) pouczył go jak zmontować podobny proces. Trzeba przynajmniej po jednym przedstawicielu każdego

Oskarżeni stali się oskarżycielami, a oskarżyciele oskarżonymi — oto rezultat pierwszych dni rozprawy toczącej się przed sądem paryskim.

OSOBY:

OSKARŻENI, KTÓRZY STALI SIĘ OSKARŻYCIELAMI:

RENAUD DE JOUVENEL, dziennikarz i pisarz, autor książki pt. „Międzynarodówka zdrajców“.

ANDRE WURMSER, dziennikarz i pisarz, autor przedmowy do tejże książki.

Pięciu zdrajców, pięciu faszystowskich zbiegów ze swych krajów ojczystych wniosło do sądu francuskiego skargę o zniesławienie, przeciw autorowi „Międzynarodówki zdrajców“ i przeciw autorowi przedmowy do tej książki. Treścią jej jest analiza zbrodniczej działalności klik emigracyjnych z krajów demokracji ludowej, klik będących agenturami imperializmu amerykańskiego.

Dwóch „oskarżycieli“ — Rumun Constantinescu i Albańczyk Abaz Kupi (ten ostatni prawdopodobnie w związku z notą rządu albańskiego, domagającą się jego wydania jako zbrodniarza wojennego) — wycofało swe skargi. Kowalewski na rozprawę się nie stawil. „Szybko topnieje moneta zdrady“ — stwierdził w swym oświadczeniu złożonym przed sądem, Andre Wurmser.

Obrona wniosła z kolei w imieniu swych klientów skargę o zniesławienie przeciw Albańczykowi Kupi, domagając się odszkodowania w wysokości 5 milionów franków.

OSKARŻYCIELE, KTÓRZY STALI SIĘ OSKARŻONYMI:

Abaz Kupi, zdrajca Albanii, zbrodniarz wojenny
Constantinescu i Dianu, zdrajcy Rumunii.
Dimitrow, używający pseudonimu „Gemeto“, zdrajca Bułgarii.
Kowalewski, „emigracyjny pułkownik“, zdrajca Polski.

kraju demokracji ludowej. A także dużo pieniędzy. Ale mecenas Izard sądzi, że łatwo te pieniądze zdobyć. Po wyłożeniu tej recepty na aferę à la Krawczyński, pan Dianu zaadresował list. Zaadresował w sposób następujący: „Pan Minister Spraw Zagranicznych Rządu Polskiego w Londynie“.

Wstawcie się, proszę, w położenie uczciwego listonosza londyńskiego, który nie jest żadnym emigrantem, nie przygotowuje żadnej wojny, ani nie korzysta ze stumilionowego funduszu dywersji i szpiegostwa. Dla niego istnieje w Londynie tylko

stnieją dłań było skończyć z rolą świadka, zanim rozpocznie się owa konferencja dla przedstawicieli „Figara“ i innych pism reakcyjnych.

Vienney: Wyobrażamy sobie, że tekst zeznań jest identyczny z tekstem konferencji.

Izard: Wcale nie. Tylko pan Ripka wraca do siebie.

Vienney: Do siebie to znaczy do... Stanów Zjednoczonych.

W galerii świadków powołanych przez adwoka-

jedno oficjalne przedstawicielstwo polskie: Ambasada Polski Ludowej. Tam też doręczył list.

Publiczność nie mogła powstrzymać śmiechu, gdy obrońca Vienney odczytywał ten dokument.

* * *

Drugi dzień procesu potwierdził słowa obrońcy Jouvenela i Wurmsera.

Albowiem mecenas Izard i jego asesory bili się o to, by ich świadek nr. 1, czeski emigrant Ripka, oskarżony w swym kraju o zdradę i skompromitowany w licznych procesach w Pradze, mógł zeznawać w drugim dniu rozprawy. Pan Ripka zapowiedział mianowicie konferencję prasową i korzy-

tów zdrajców figurują m. in. Anders, Mikołajczyk, Bór-Komorowski.

W związku z tym demokratyczna prasa francuska szczegółowo analizuje zbrodniczą działalność filii andersowskich we Francji. „Humanité” przypomina, że zdrajca Anders został w roku 1946 pozbawiony obywatelstwa polskiego, i że dokument ten m. in. podpisał nie kto inny, jak ówczesny wicepremier... Mikołajczyk.

Podkreślając stosunki andersowskich bandytów z amerykańskimi władzami okupacyjnymi w Trizonii — „Humanité” stwierdza, że andersowcy, powiązani ze szpiegami i kolaborantami, transportują całe wagony broni, handlują dewizami, dokonują zbrodni pospolitych. „Jest to prawdziwa piąta kolumna, która uważa nasz kraj za zdobyty” — pisze „Humanité”.

„Liberation” rozpatrując okoliczności morderstwa Rydzowej wysnuwa wniosek, że morderstwo to było niewątpliwie wyrazem niesnasek wśród emigrantów, niesnasek dotyczących użytkowania poważnych funduszy dla tajnej działalności pewnych „organizacji”. Fundusze pochodzące od hojnych ofiarodawców amerykańskich zostają skierowane przez Szwajcarię do Francji na ręce specjalnych „dysponentów”. Jeden z nich, niejaki Janusz K. zakupił liczne fermy w okolicy Tuluzy, gdzie gościł emigrantów z Trizonii.

W tym samym czasie gdy między Bernem, Londynem, Waszyngtonem i Paryżem odbywają się ciągle podróże, gdy zdrajcom udziela się we Francji długoletniego prawa pobytu — rząd francuski odmawia wiz wjazdowych świadkom, obywatelom krajów demokracji ludowej, powołanym przez obronę Jouvenela i Wurmsera. I znów publiczność wybuchła śmiechem, gdy mecenas Izard scholastycznie wyjaśnia:

— Quai d'Orsay nie odmówiło wiz — tylko ich jeszcze nie udzieliło...

Lecz oto przemawia André Wurmser i analizuje mechanizm zdrady:

— Każda rewolucja, przynosząca zmianę w stosunkach własności, rodzi zdrajców wśród tych, których pozbawiła przywilejów własności.

Wurmser mówi o „emigrantach Koblencji” z r. 1792, o białogwardzistach z r. 1917, o pupilkach Czang Kai-szeka.

— Ci emigranci — dowodzi gorąco pisarz — niczego nie boją się tak, jak pokoju. — I stwierdza, że książka p. t. „Międzynarodówka zdrajców” wymienia jedynie zdarzenia, które miały miejsce, oskarżenia, które wniesiono, dowody, których prawdziwość ustalono — i z tego wszystkiego wysnuwa wnioski.

W związku z procesem Renaud de Jouvenel udzielił wywiadu „Humanité”.

„Zebrałem nowe informacje — powiedział — które świadczą, że nie chodzi tu wyłącznie o bandę spiskowców pracujących na rachunek zagranicy, lecz o przedsięwzięcie montowane przez wywiad amerykańsko-angielski, przedsięwzięcie datujące się jeszcze z czasów przedwojennych. Nie chodzi tu wyłącznie o zdradę. Problem jest szerszy.

„Chodzi o pokój lub wojnę. Międzynarodówka zdrajców jest jednym z elementów szerokich przygotowań do wojny, kierowanych przez Amerykanów. W toku procesu nie tylko uzasadnimy wysunięte zarzuty, lecz również ujawnimy nowe rewelacyjne dane, dotyczące amerykańskich przygotowań wojennych”.

Tak więc proces, który w zamysłach amerykańskich stać się miał trybuną prowokatorów — zedrze maskę z oblicza prowokacji.



Wurmser, świetny publicysta i pisarz znany z ciętości pióra, charakteryzuje sylwetki „oskarżycieli”.



Obroncy są w dobrych humorach. Właściwie winni przejść z ławy obrońców na miejsce prokuratora.

TEN WZNIESIONY PALEC TO NIE JEST... PALEC BOŻY. NALEŻY ON DO ADWOKATA IZARDA, RZECZNIKA KRAWCZENKI I JEGO NASTĘPCÓW.





NA PODBÓJ GÓR

ŚNIEG sypie bez przerwy. Na stacji Rabka-Zaryte wysypują się z pociągu ludzie w skafandrach, z nartami i plecakami. Twarze wyrażają lekki niepokój. Czy pogoda dopisze? Czy wytrzymamy kondycyjnie tyle kilometrów? Ale wszyscy wiedzą jedno: takiej masowej imprezy narciarskiej jak Raid Turystyczny organizowany przez PTTK, jeszcze w Polsce nie było. Na 21 trasach w Tatrach, Beskidach, mało znanych Gorcach i na Podhalu przez cztery dni posuwało się na nartach 287 drużyn (2383 uczestników). Ukończyło raid 2211 turystów ze wszystkich stron Polski.

Z punktu wyjściowego w Zarytem startuje 20 drużyn. Idą dwiema trasami. Przez Turbacz i Luboń. Droga jest ciężka i cały czas prowadzi pod górę. Drużyna 307 z Nowej Huty, idzie pierwsza. Spieszy się, bo na krótkim odpoczynku na szczycie ma wykonać swój pierwszy czyn społeczny — zabezpieczyć schronisko przed pożarem. Szybko i sprawnie wykonuje zadanie, a potem zjazd w dół, do Jordanowa. Tu organizuje razem ze szkolnym kołem ZMP wieczornicę.

Rano wymarsz w dalszą drogę. A do mety na Gubałówce pozostały jeszcze trzy etapy. Mimo zmęczenia — nastrój wspaniały. Trasa jest piękna, chociaż trudna. Trudy marszu wynagradza zresztą serdeczne przyjęcie raidowiczów przez miejscową ludność.

W chacie gościnnej Głazy w Lipnicy Małej gorąco i wesoło. Brygadzysta z Nowej Huty, Muller, gra na harmonii, śpiewa i recytuje wiersze. Pięć córek gościnnej śpiewa orawskie piosenki. Gorący posiłek czeka na stole, a sienniki ze słomą zapraszają do odpoczynku.

A w bazie operacyjnej w Zakopanem telefony dzwonią bez przerwy. Kierownik raidu, inż. Gołogórski, przyjmuje coraz to nowe meldunki. Na trasach wszystko w porządku. Drużyny miarowo posuwają się naprzód.

— Zakopane? Tu Szaflary. Na noclegu spalili mi się buty, a chcę koniecznie ukończyć raid.... Za chwilę nowy telefon. Z Czorsztyna. Proszą o konserwy.

Z Zakopanego wyruszają samochody. Kierownictwo działa sprawnie i szybko. Poczta łączy natychmiast z najbardziej odległymi wsiami. Na wszystkich punktach działają krótkofalówki. Całe Tatry żyją Raidem. A na trasach zawieja. Warunki atmosferyczne nie dopisały. Takiej masy sypanego i świeżego śniegu dawno już w górach nie było. Raid wymagał od uczestników silnej woli, hartu, kondycji i wzajemnej, koleżeńskej współpracy.

— Organizacja Raidu, punkty noclegowe, zaopatrzeniowe, opieka lekarska, pełna poświęcenia praca Tatrzańskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowe-



NAJTRUDNIEJSZY JEST ZAWSZE PIERWSZY

go — o tym będziemy pamiętać bardzo długo — stwierdza zwycięska drużyna 307 z Nowej Huty.

A pod adresem PTTK wszyscy zgodnie oświadczają:

— Organizujcie raidy jak najczęściej. Cztery dni to za mało. Chcemy więcej zjazdów, tras wysokogórskich dla bardziej zaawansowanych narciarzy. Przed raidem powinny odbywać się eliminacje, które będą sprawdzianem przygotowania do raidu. Bo nie wszyscy jeszcze są narciarzami na miarę Marusarza.

Zdjęcia: W. PRAZUCH

IWONA JARZYNA

Tatry, Beskidy, Gorce i Podhale w czasie trwania Raidu Tatrzańskiego zaludniły się narciarzami.



Trudno powiedzieć co sprawiło większą przyjemność uczestnikom Raidu — nagrody czy czterodnio-

wa wędrówka na nartach. W 1953 r. popłyną z tego odbiornika komunikaty o sukcesach drugiego Raidu.





KROK. A TU ZŁE NASMAROWANE NARTY UTRUDNIAJĄ PODCHODZENIE.

Drużyna „Biprohutu“ ostatni nocleg spędza w góralskiej chacie w Poroninie. Po trudach uciążliwego marszu czeka narciarzy dobrze zastawiony wypoczynek.



FABRYKI

WITAMIN

MYLIŁBY się ten, kto by sądził, że witaminy i ich zastosowanie zostały już przez naukę zbadane w sposób ostateczny i całkowity. W Związku Radzieckim istnieje rozgałęziona sieć instytucji naukowych, które pracują nad różnymi problemami, związanymi z witaminologią.

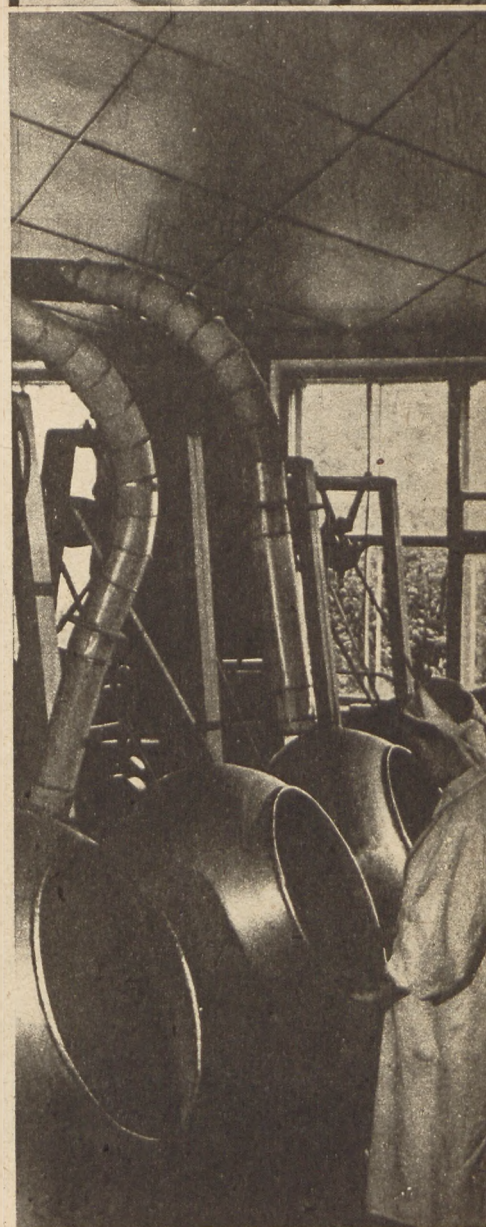
Zastosowanie witamin nie ogranicza się dziś do podnoszenia jakości pokarmów oraz leczenia najrozmaitszych chorób. Okazało się bowiem, że nie tylko ludzie mogą korzystać z tych cennych substancji: hodowcy radzieccy stosują witaminy jako dodatki do pasz treściwych, co poważnie podnosi wydajność hodowli. Witaminy zwiększają mleczność i płodność krów, podnoszą jakość wełny u owiec, przyspieszają tuczenie świń i wzrost cieląt.

Stale rosnące zapotrzebowanie na witaminy powoduje więc konieczność rozszerzenia bazy surowcowej. Prace nad syntetycznym otrzymywaniem witamin umożliwiły sztuczną produkcję tylko bardzo nielicznych, najprostszych witamin. Dlatego też prowadzone są obecnie badania mające na celu zwiększenie zawartości witamin w owocach i warzywach. Odmiany roślin o wysokiej zawartości witamin, otrzymywane drogą doboru sztucznego oraz krzyżowania, są po dokładnym zbadaniu wprowadzane do hodowli masowej. Instytuty naukowe utrzymują stały kontakt z tysiącami hodowców i popularyzują ich osiągnięcia.

Produkcją preparatów witaminowych zajmują się w ZSRR duże fabryki. Stosują one procesy technologiczne, które przeszły przez ogniówą próbę licznych doświadczeń laboratoryjnych. Stałą kontrolą produkcji zajmują się nie tylko laboratoria fabryczne, ale także Wszechzwiązkowy Instytut Naukowo-Badawczy Witamin oraz odpowiednie placówki Akademii Nauk ZSRR.

W roku ubiegłym radzieckie fabryki preparatów witaminowych wykonały plan w 1610%.

Na zdjęciach — u góry: zakłady witaminowe w Leningradzie posiadają nowoczesne laboratorium, w którym preparaty witaminowe przechodzą szczegółowe badanie. Poniżej: naukowcy W. Lebiediew i I. Lisnianski za swe prace naukowe w dziedzinie witaminologii odznaczeni zostali Nagrodą Stalinowską. Obok: fragment największych w ZSRR zakładów witaminowych w Moskwie.





1



4



2

KONCERT – KO

NA ŁAMACH „Świata” drukowaliśmy cykl felietonów, zaznajamiających Czytelników z instrumentami orkiestry symfonicznej i z jej pracą. Dzisiaj dajemy uroczysty koncert. Uroczysty, gdyż zamykamy nim nasz własny, mały etap na wspólnej drodze wiodącej do pięknego celu. Celem tym jest upowszechnienie i podniesienie kultury muzycznej w Polsce.

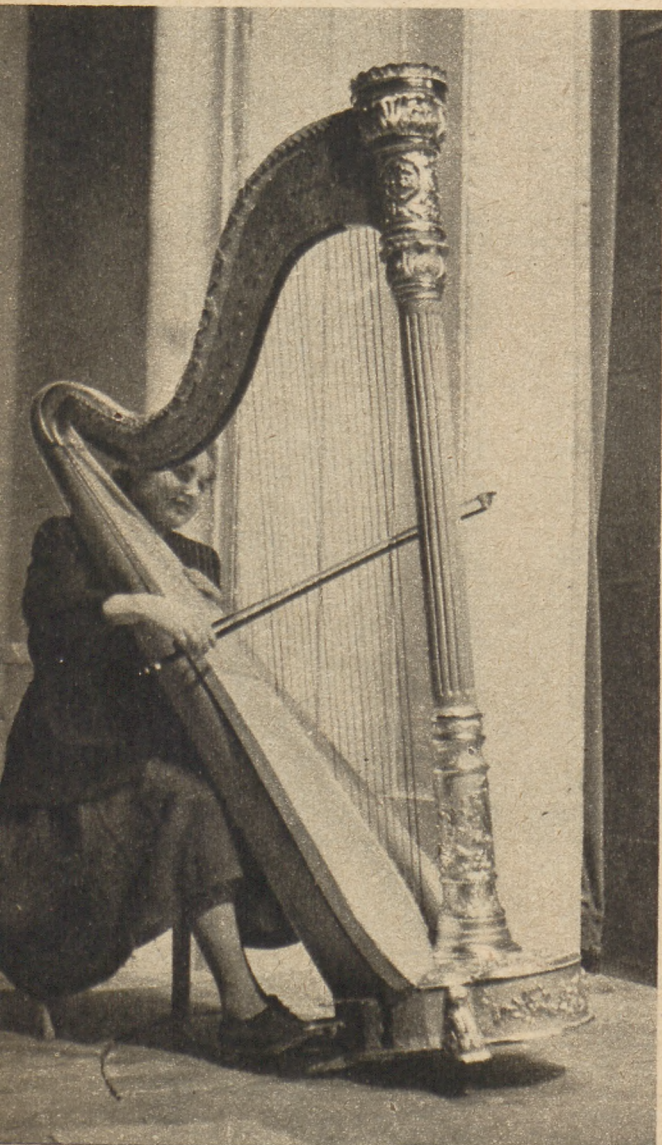
Orkiestra Filharmonii Warszawskiej siedzi już na estradzie. Dyrygent kłania się Czytelnikom. Koncert za chwilę się rozpocznie.

Lecz kilku instrumentalistów Filharmonii nie będzie grało tak doskonale, jak zwykle, gdyż koncert dzisiejszy jest zarazem *konkursem*. A konkurs ten polega na stwierdzeniu, dlaczego przedstawieni na ośmiu numerowanych zdjęciach instrumentalisci grają źle i jak powinni grać prawidłowo.

Dla ułatwienia konkursowego zadania, podajemy naszym Czytelnikom przykład (nie należący do konkursu!):



Obejrawszy powyższe zdjęcie i poszperawszy w zapasach nabytej wiedzy o orkiestrze, Czytelnik winienby odpowiedzieć: „Klarnetu basowego nie trzyma się podczas gry poprzecznie, lecz prostopadle do podłogi”. Każda z 8 odpowiedzi konkursowych winna być zawarta w jednym zdaniu, podzielonym przecinkiem.



3





5



6

ONKURS

ZAPROJEKTOWANY PRZEZ DYREKTORA FIL-
HARMONII WARSZAWSKIEJ. WITOLDA RO-
WICKIEGO I RED. JERZEGO WALDORFFA.

OTO SPIS NAGRÓD:

Pierwsza część zdania winna stwierdzać — na czym polega przedstawiony błąd w grze na danym instrumencie, a druga — jak się powinno grać prawidłowo. Oczywiście dobór słów w zdaniu i ich ilość, są rzeczą obojętną. Chodzi tylko o to, żeby sens był jasny i trafny.

Ze zrozumiałych powodów z konkursu naszego wyłączeni są zawodowi muzycy i uczniowie wyższych szkół muzycznych.

Odpowiedzi konkursowe należy wpisać czytelnie na znajdującym się w tym numerze „Świata” kuponie konkursowym, kupon wyciąć i nadesłać pod adresem: „Świat”, Warszawa, ul. Nowy Świat 58. Na kopercie należy dopisać: „Konkurs muzyczny”. Termin nadsyłania odpowiedzi upływa 5 marca 1952 r. O dotrzymaniu terminu decydować będzie data stempla pocztowego.

Doceniając wagę propagandy i popularyzacji muzyki przez prasę, nagrody na konkurs muzyczny „Świata” ufundowało sześć czołowych polskich instytucji muzycznych.

1 NAGRODA — 8 zeszytów z pomnikowego wydania Dzieł Chopina (Polonezy, Ballady, Etiudy, Preludia, Impromptu, Nokturny, Walce, Pieśni. — Ufundowało Polskie Wydawnictwo Muzyczne). Prócz tego „Świat” zamieści podobiznę laureata.

2. Album zawierający 20 zdjęć-portretów najwybitniejszych współczesnych naszych kompozytorów, wraz z ich autografami (ufundował Związek Kompozytorów Polskich).

3. Gipsowy odlew maski pośmiertnej Chopina (ufundował Instytut Fryderyka Chopina).

4—8. Po albumie z 10 płytami, zawierającymi nagrania muzyki polskiej, od dzieł symfonicznych do pieśni masowych i utworów tanecznych (ufundowały Zjedn. Zakłady Przemysłu Muzycznego).

9. Oprawny portret Stanisława Moniuszki (ufundowało Warszawskie Towarzystwo Muzyczne).

10. Monografia o Szymanowskim, pióra St. Łobaczewskiej (ufundowało Polskie Wyd. Muzyczne).

11. Monografia o Karłowiczu, pióra A. Chybińskiego (ufundowało PWM).

12. Ozdobnie wydane 2 zeszyty z wyborem pieśni Moniuszki (ufundowało PWM).

13—22. Po dwa bilety do Filharmonii Warszawskiej, na dowolny koncert, według wyboru laureatów konkursu (ufundowała Filharmonia Warszawska).

22—50. Cenne nagrody książkowe „Świata”.

Powyższe nagrody zostaną rozlosowane między tych Czytelników, którzy nadesłają w terminie, na kuponie, prawidłowe rozwiązanie konkursu.

Wyniki konkursu i listę nagrodzonych podamy w jednym z najbliższych numerów „Świata”.



7



8



„Nie, nie... Tak wprost trudno to będzie załatwić. Niech towarzysze Feliks rozstrzygnie: czy powiadomić Garimaux zamkniętego w fabryce jak w twierdzy, że jego żona została aresztowana? Żadnych instrukcji nie otrzymaliśmy. Chodziło po prostu o to, że skoro policja zainteresowała się jego rodziną, należało stwierdzić, dlaczego to się stało... Tymczasem pierwszy kontakt z Garimaux nie uczynił ani na jotę bardziej zrozumiałym tego, co się stało. Gubiliśmy się w domysłach. Przysłać się muszę, że byłem nieco zirytyowany koniecznością zainteresowania się Garimaux, samym nawet faktem zbliżenia się do niego, jego żony i całej sprawy. Zebrany materiał nie przedstawiał wielkiej wartości, duży artykuł ani reportaż nie mógł z tego wyjść. A przecież obok znajdowało się tylu ciekawych, wspaniałych ludzi. To ich raczej należało poznać i uczynić bohaterami reportażu.

Instrukcje jednak są instrukcjami. Nie chcę otwierać oczu Garimaux na to, co się stało. Towarzysze Feliks niech zdecyduje, jak postąpić...

12.

Stewess dzwonił do Londynu z brytyjskiej ambasady. Gdy jechał z rue de Saussaie, przysmykał oczy. Zmuszał się do ich otwarcia, potem znów zamykał. Przecież prowadził samochód — należało choć trochę uważać. Z drugiej zaś strony widok pustego, niemal wymarłego miasta, jeszcze wczoraj pełnego życia, ruchliwego, błyszczącego znakomicie tym blichtrzem, który zachodnio - europejskim stolicom nadaje charakterystyczny, swoisty wygląd — ów widok pustki i agonii sprawił mu niemal fizyczny ból.

Przekablował skąpe wiadomości. Zły był na siebie, zły na Toussertina'a.

„Niepotrzebnie zerwałem stosunki z tymi komunistycznymi dziennikarzami. Przecież mogli mi oni przekazać znane sobie dane, które w odpowiednim oświetleniu byłyby do wykorzystania” — myślał Stewess. — Toussert, Toussert, ten władca informacji, król logicznego sądu, bawi się z jakąś aresztantką, tak jakby to było odpowiednie zajęcie dla niego. Zupełnie stracił głowę...

Stewess mocno przeżywał zawód, jaki mu sprawił Toussert. A tymczasem centrala żądała dokładnych wiadomości: procentu nieczynnych zakładów pracy, szkół, biur, instytucji, procentu strajkujących robotników i urzędników, oraz dokładnych danych o zamachach komunistycznych, lub też udaremnionych próbach tych zamachów.

„Po co wygadałem się o tych zamachach” — trapił się Stewess.

Zaraz jednak przypomniał sobie, że nic o nich nie mówił.

„A więc oni tam, w Londynie, wiedzą już o zamachach komunistycznych, które jeszcze się nie zdarzyły...”

Sformułowanie to niejako samorzutnie przyszło mu na myśl wśród największej irytacji. Nie analizował go, lecz przyjął, jak paradoks.

Popędził z powrotem do Toussertina'a. Nie zastał go. Toussertin był na jakiejś konferencji. Stewess czekał. Konferencja się przedłużała. Stewess chodził po pustej poczekalni. Nogi jego tonęły w puszystym dywanie. Bezszelestnie zbliżał się do okna, patrzył na postrzępione, faliste piętrzenia dachów kamienic, na chmurne niebo. Toussertin nie wracał. Stewess nie wiedział, co robić. Czy jechać na miasto, może na Porte de Clichy, do mało rozmownego komisarsza Lazard'a?

Jak bardzo skurczył się świat dla Stewessa... Miał dwa, trzy miejsca co najwyżej do wyboru.

W pokoju, obok, kogoś przesłuchiowano. Najpierw Stewess myślał, że Toussertin jest u siebie. Słyszał podniesione głosy, wymysły, pogroźki. Dwa razy drzwi się otworzyły, prowadzący dochodzenie oficer wypadał na schody, wołał kogoś i wracał. Ten drugi po chwili się zjawiał. Toussertina'a w gabinecie nie było. Stewess ujrzał tylko ową aresztowaną robotnicę, którą przy nim przesłuchiwał Toussertin. Kobieta mówiła tak cicho, że głosu jej nie słyszał. Przez uchylone na moment drzwi widział jej poruszające się usta. Dostrzegł także, że była blada, stała oparta o ścianę. Twarz jej nie odróżniała się barwą od bieli ściany. W gabinecie co chwila odzywał się telefon. Rozmowę zagłuszało jego dzwonięcie. Szybko jednak wszystko wracało do normy.

Toussertin zjawił się, gdy Stewess, zniechęcony i przybity, drzemał na kanapie. Był głodny, pora śniadania już minęła, od rana nic nie miał w ustach. Toussertin skinął mu głową, gdy rozespany spojrzał nań, i zniknął za drzwiami.

Kobietę wyprowadzono. Toussertin poprosił Stewessa. Okrągły stolik zastawiony był zakąskami, po środku sterczała butelka wina.

— Zgłodniał pan pewnie! — wykrzyknął Toussertin z przesadnym ożywieniem. — Tak, dziś naprawdę mamy piekielny dzień. Proszę, niech pan siada...

Położył serwetkę na kolanach. Mimo że tak na oko był wesoły, w oczach jego krył się wyraz znużenia, co natychmiast zauważył Stewess.

Intuicja dziennikarska i tym razem go nie zawiodła. Toussertin powrócił właśnie z konferencji, na której w obecności najwyższych postawionych osobistości zganiony został za nieudolne wykonanie akcji na Porte de Clichy. Jak „gorąca” atmosfera panowała w czasie tej konferencji, najlepiej wyrazi fakt, że minister spraw wewnętrznych dwa razy sięgał po butelkę z mineralną wodą. Toussertin należał do sztabu tego ministra i, rzecz jasna, żaden z zarzutów nie był skierowany wprost do niego. On bowiem nie liczył się na tym zebraniu. Zaczął się liczyć dopiero potem, gdy minister spraw wewnętrznych dokonał obrachunku ze swymi podwładnymi. Początkowo dyskusja dotyczyła spraw czysto politycznych. Przedstawiciel ambasadora USA — sam ambasador był lekko przeziębiony i nie mógł osobiście przybyć na konferencję — oznajmił, że dotychczasowy przebieg strajku dowodzi wprawdzie jak wielkimi siłami rozporządzają komuniści, nie okazuje jednak w całej rozciągłości bezprawia, któremu przecież ze znaną inteligentnym ludziom bezwzględnością komuniści hołdują. Przedstawiciel dodał także, że w czasie telefonicznej rozmowy z Departamentem Stanu — z tamtej strony kabla wyrażono niemałe zdziwienie, iż nie ujawnione zostały jeszcze zbrodnicze próby zamachowców komunistycznych w fabrykach francuskich.

I dookoła tych słów obracała się cała rozmowa. Minister spraw wewnętrznych, zmęczony i rozgorączkowany, po zakończeniu konferencji udzielał swym podwładnym instrukcji co do dalszych kroków, jakie należało przedsięwziąć.

— A więc Porte de Clichy — powtórzył raz po raz Toussertin, gdy oczywście tylko częściowo wtajemniczył Stewessa w treść rozmów, w których uczestniczył.

Potem nawet nieco się żalił. Popijał wino i snuł wstępę melancholijnych skarg:

— Żona robotnika Garimaux nie odegra roli przynęty dla swego męża. Już próbowałem wszelkich środków. Prośby i groźby. A nawet... nawet zasłabła. Sprowadzono lekarza. Stwierdził, że kobieta jest w ciąży. Gdyby coś złego jej się przydarzyło, skandal byłby zbyt wielki. Ta karta okazała się bezwartościowa... Robotnicy w nocy obsadzili fabrykę...

— Nic o tym nie wiedziałem! — wykrzyknął Stewess.

— Ja także — rzekł smutno Toussertin. — Trzeba ich będzie chyba usunąć z Periquet'a. Jeśli coś się nie uda, znów ja będę winien. Trzeba będzie oczyścić fabrykę. Dziś, w dniu mobilizacji robotników, gdy nie wolno ich drażnić... Ładny galimatias, co?

Pełen czarnych myśli Toussertin powiódł Stewessa najpierw do robotniczych dzielnic. Wysiedł z samochodu i podśluchiwał rozmowy, prowadzone półgłosem przez drobnych, szczupłych mężczyzn i wyniszczone, przedwcześnie postarzałe, kobiety. Wszędzie mówiono o strajku. Toussertin wznosił oczy w górę.

— Dla tych ludzi Bóg nazywa się chyba strajkiem — rzekł sentencjonalnie.

Udawał, że nie słyszy słów pełnych nienawiści i gorczy, skierowanych pod adresem rządu i władz administracyjnych. Stewess ze swej strony zachował się tak, jakby nie rozumiał.

W samochodzie Toussertin szepnął do siebie:

— Gadają mocno, nie boją się, gadają...

Komisarz Lazard spał w swoim aucie. Zbudził go.

— Komisarszu — oświadczył urzędowym tonem Toussertin — będziemy oczyszczać fabrykę. Trzeba unieszkodliwić bombę, która znajduje się w fabryce.

Stewess nadstawił uszu, a komisarz Lazard omal nie spadł z siedzenia.

— Co, proszę? Bombę? — spytał niepewnie.

— Tak jest. Otrzymaliśmy wiadomość, że komuniści trzymają bombę w zakładach Periquet'a.

— W jakim celu?

— Żeby wykorzystać ją w odpowiedniej dla siebie chwili. Może szukają ją na pana i na pańskich ludzi? Lazard zachnął się.

— Chyba niemożliwe... Chociaż po nich wszystkiego można się spodziewać — poprawił się zaraz.

— Musi pan wyrwać im z rąk tę bombę. To jest ważniejsze nawet od samego oczyszczenia zakładów.

— Rozumiem.

— Mam więc nadzieję, że wkrótce otrzymam od pana meldunek o pomocy wykonaniu rozkazu.

— Tak jest.

Komisarz Lazard zsalutował służbiście.

Stewess oświadczył, że pozostanie na Porte de Clichy. Odprowadził jednak Toussertina'a, pragnąc się dowiedzieć bliższych szczegółów o owej bombie. Toussertin bardzo się spieszył.

— Za dziesięć minut mam ważną konferencję. Może pan pojedzie ze mną, to po drodze opowiem panu wszystko o tej bombie.

Stewess jednak nie dał się odwieść od powziętego już zamiaru pozostania na miejscu, celem uczestniczenia w „oczyszczaniu” fabryki. Pożegnał Toussertina słowami:

— Przy następnym spotkaniu wyjaśni mi pan tę sprawę. Trzymam pana za słowo...

13

Minęło południe, a sytuacja na Porte de Clichy nie uległa zmianie. Kordon policji niezmiennie otaczał zakłady Periquet'a, wewnątrz zaś wciąż pozostawali robotnicy.

W wielkim gmachu CGT panował doskonały nastrój: strajk był wygrany. Można już było śmiało powiedzieć, że dzień strajku powszechnego we Francji zakończył się triumfem klasy robotniczej. Jednak wciąż jeszcze jedno miejsce pozostało niejasne: Porte de Clichy.

Dlaczego policja trzyma w obłężeniu fabrykę? Dlaczego, wiedząc o okupacji fabryki przez robotników, nie dąży do ich usunięcia, bądź też sama się nie usunie? Dlaczego wreszcie żona robotnika Fernanda Garimaux pozostaje w areszcie?

Brak ścisłej łączności z robotnikami okupującymi fabrykę, komplikował położenie.

O drugiej godzinie sztafeta samochodowa, jadąca od strony Marsylii, natrafiła na zsośnie na zabitego mężczyznę. Zmasakrowane zwłoki przewieziono do Paryża, a jeden ze sportowców robotniczych rozpoznał w zabitym Bouquinet'a, piłkarza drużyny fabrycznej Periquet.

Lagage posłał Dervelle'a do rodziców Bouquinet'a. Dervelle przyniósł wiadomość o nocej wizycie i o odejście Bouquinet'a, który do domu już nie powrócił. W jednym z mężczyzn, którzy przyjechali nocą po niego, ojciec rozpoznał urzędnika wydziału socjalnego z fabryki. Drugim był oficer policji.

Przesłanki zaczęły się gromadzić.

— Bouquinet musiał być w fabryce — rzekł Lagage.

Dervelle podążył do Periquet'a. Jednak pech chciał, że w pobliżu wjazdu do kanału stał wartownik. Dervelle daremnie czekał na chwilę w której policjant się oddali. Powrócił więc. Po pół godzinie nadeszła nowa ważna wiadomość: Danielle Garimaux wróciła do swego mieszkania. Posłano po nią samochód. Gdy się zjawiała w pokoju, w którym siedzieli Lagage, Rouard i Dervelle, pierwszym ruchem Lagage'a było podsuniecie kobiecie krzesła. Błada była, ledwie szła, przy ustach trzymała chusteczkę. Rouard wziął w rękę tę chustkę. Pełna była krwi.

Dalszy ciąg nastąpi



Rys. Charlie

TWARZE KTÓRE SĄ HISTORIA POKOLENIA



MŁODY chłopiec, może dziesięć, może jedenastoletni, pracujący przy piecu hutniczym, zachwiał się nagle i upadł. Gdy go ocucono, okazało się, że pracował 36 godzin bez przerwy.

O wypadku tym, który wydarzył się w hucie angielskiej w roku 1855, pisze niejaki pan White z urzędowej „Komisji do badania zatrudnienia dzieci” w przemyśle angielskim.

„Robotnicy przepracowani umierają z przerażającą szybkością, lecz nowi zajmują natychmiast ich miejsce i częsta zmiana osób nie powoduje żadnej zmiany na scenie”. Słowa te pisze niejaki E. G. Wakelfield w książce p. t. „England and America”, wydanej w Londynie w r. 1833.

„Wysuwano hrabstwo Sunderland jako to, które osiągnęło znaczną poprawę warunków bytu, ale nowsze badania wykazały, że w okręgach tych, niegdyś słynnych z dorodnych mężczyzn i dzielnych żołnierzy, mieszkańcy zwyrodniali, stali się rasą skarłałą i wątłą”. Ten opis pochodzi z książki Thorntona, p. t. „Nadprodukcja ludności”, wydanej w roku 1864.

Od czasu, gdy słowa te były pisane, minęło wiele lat. Robotnicy i robotnicy angielscy nie pracują już w tak straszliwych warunkach, jak wówczas — bo ich nieustanna walka o ludzkie prawa egzystencji przyniosła pewne owoce. Ale historia potu, krwi i łez, która była udziałem całej generacji proletariatu angielskiego, wzięła się ostrymi, głębokimi liniami w twarze przadek z Lancashire i dokerów Merseyside, górników z Cardiff i kolejarzy z Swindon. I choć bohaterska, ofiarna walka robotników angielskich wydarła kapitalistom pewne ustępstwa — przecież i dziś nie skończyło się pasmo ani krwi, ani potu, ani łez.

Anglia znajduje się pod okupacją amerykańską, a robotnicy angielscy wydają z siebie ostatnie siły, uginając się pod podwójnym wyzyskiem: zwykłą eksploatacją kapitalistyczną i dodatkowymi ciężarami, jakie niesie ze sobą polityka zbrojeń — polityka armat, samolotów i czołgów.

Robotnicy wciąż żyją w barakach, blaszanych domkach i slumsach wielkich miast — w samym Londynie, ludzi mieszkających w warunkach, które urągają najprymitywniejszym wymagom higieny, jest prawie pół miliona. Z przerażeniem patrzą, jak codziennie skaczą w górę ceny — a w dół — przydziały żywności. Ze strachem myślą o rosnącym bezrobociu, zamykaniu fabryk i kopalń. Dzieci chowają głowy, gdy słyszą warkot amerykańskich samolotów i patrzą na rozbijających się po ulicach miast angielskich, żołnierzy okupacyjnej armii amerykańskiej.

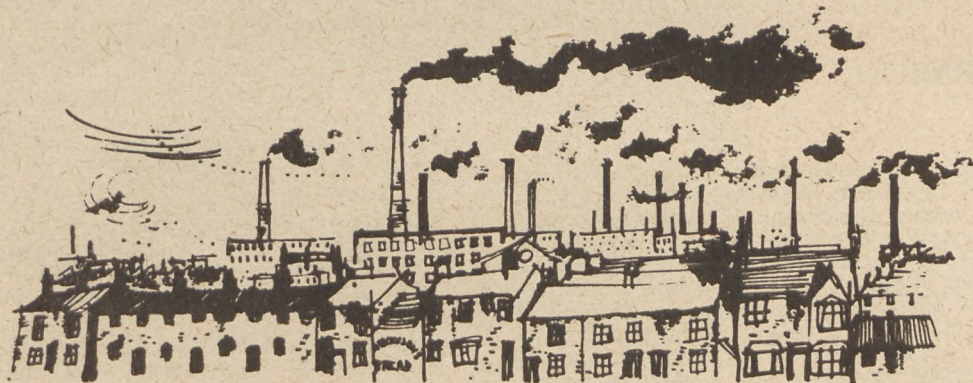
Te troski, ciężary, kłopoty i zmartwienia wyczytać można w wielu szkicach znakomitego rysownika angielskiego, Paula Hogartha. Hogarth rysuje głównie twarze, a w twarzach tych umieszcza i ślady niewolniczej pracy z ubiegłego wieku i trawiący robotnika niepokój o przyszłość Anglii.

Ludzi, których rysuje Hogarth, spotkać można w każdym zakątku Anglii. Jest on rysownikiem realistycznym, który potrafił podpatrzeć i podchwycić najbardziej typowe i charakterystyczne cechy proletariatu angielskiego.

Niektóre rysunki z teki Hogartha reprodukujemy poniżej.

Z. B.

DZIAŁACZ KOMUNISTYCZNY



ZAKŁADY PRZEMYSŁOWE



GÓRNIK



WIELKI PRZEMYSŁOWIEC



W ROBOTNICZYCH JADŁODAJNIACH



POŁUDNIE. KROWY Z DACHNOWSKIEJ OBORY WYCHODZĄ KOLEJNO DO WODOPOJU.

NA PRZEDWIOŚNIU

Tekst i zdjęcia: TADEUSZ SARNECKI

AGRONOM GRYNIEWICZ jeszcze raz spojrzął na szkic pól dachnowskich. Tak, nic już w nim nie brakowało. Od roku planował płodozmiany w ten sposób, aby stopniowo przejść do nowoczesnej, sześciopolowej uprawy roli i prawie był z tym gotów. Dawna szachownica małych, karłowatych pól zniknęła, a na jej miejsce powstały wielohektarowe łąny. Jeszcze rok, a sześciopolówka będzie faktem.

— Faktem!

Słowo to powtórzył z lubością, zwinął szkic w rulon i wyszedł na podwórkę. Koń był już do wozu zaprzężony, szybko więc wskoczył po kole na siedzenie i podniósł lejce.

— Wio, stary!

Koń ruszył truchtem.

Rolnicza Spółdzielnia Wytwórcza w Dachnowie nie należała dotychczas do najlepszych. Wlokła się na szarym końcu za innymi i dopiero od żniw jakby ją kto odmienił. Sama sprzątnęła zbiory, a jej członkowie zaczęli marzyć o lepszym życiu, o budowie domów, o zwiększeniu plonów, zajęli się hodowlą. „Dobry moment — uznał w myśli agronom — byle nie był to tylko słomiany ogień. Ano, zobaczmy!”

Podciął konia, puścił go w galop i wkrótce znalazł się na dachnowskim. Skreślił od szosy na prawo, minął staw i nie dojeżdżając do biura zarządu przystanął w pobliżu obory. Właśnie pojono bydło.

W progu stał buhaj Kuba, zaparł się tylnymi nogami, a potem pochylił w gniewie swój potężny łeb, jak do uderzenia. Nie chciał wyjść na podwórkę.

Józef Cencora łagodnym głosem zachęcał:

— O hej, głupi, prowadzę cię przecież do wodo-
poju!

Argument ten nie przemówił jednak Kubie do rozumu, Cencora więc, choć pragnął tego uniknąć, musiał szarpnąć za sznur od kółka i Kuba wreszcie ruszył, bo i cóż miał robić, gdy dosłownie wodzili go za nos. Przed tygodniem założyli mu kółko, które pozbawiło go możliwości oporu.

O DACHU I PRETENSJACH

Przewodniczący spółdzielni. Jan Pacholek, członkowie zespołu: Józef Maciołek, Michał Kowal, Stanisław Pryjma, Tekla Niedomys i buchalter, z na-

piętą uwagą obserwowali bydło pojone w korycie przy studni. Gryniewicz przyjrzał się im uważniej; zdradzali w oczach zamięłowanie do hodowli, od razu widzieli wady i zalety każdej krowy, odgadywali ich usposobienie, oceniali mleczność każdej sztuki. Kupili krowy polskiej rasy czerwonej i z niewielkiego stadka wyraźnie byli dumni. Na razie mieli tylko 11 krow, gdyż na oborze spółdzielczej przeciekał dach i mimo licznych interwencji, Budowlane Przedsiębiorstwo Powiatowe nie zdołało go jeszcze naprawić. Tak tedy musieli się ograniczyć do niewielkiego budynku z drewnianych bal, a czynili to z żalem, bo nie było w nim miejsca na żadną poważniejszą hodowlę.

Widząc Gryniewicza, Pacholek zwrócił się do niego z wymówką:

— Jaka to dla nas krzywda, gdyby ten dach na czas był zreperowany, mielibyśmy już z pół setki krow! Brakuje nam paszy? Łak i pastwisk u nas pod dostatkiem.

— A kogo chcecie winić — spytał agronom — BPP, POM, mnie? Czyja jest obora? Wasza. Kto powinien chodzić koło naprawy? Wy! Gdybyście dobrze się zakrzętnęli, dach byłby cały.

Pacholek zgniewał się, przystanął. Szli już wszyscy w kierunku zagrody dla owiec. Zmierzyli się oczami.

— Mówiłem przecież...

Agronom złagodniał, tłumaczył: — Mówić, widziecie nie dosyć, trzeba działać. Rzecz w tym, że tak na serio wzięliście się do roboty dopiero od lata. Trochę późno, chcecie mieć wszystko od razu.

Przewodniczący natychmiast rozpogodził twarz, gdyż Gryniewicz miał rację, rzekł tylko z samej już przekory: — No, nie wszystko, na razie jeszcze tę oborę.

Gryniewicz znów przyjrzał się dachnowiakom: mieli w oczach ten sam wyraz zainteresowania, jaki spostrzegł już u nich przy pojeniu krow. Mimo woli, z chłopską, zataił ręce. Był zadowolony, wiedział już, że porwie ich do planu jakiegoś zrodził się w nim niedawno. Naglił teraz do biura.

Poszli z nim wszyscy, a zdawali się być czymś radośnie podnieceni, jedynie Kowal był jakiś chmur-

ny. Buchalter, który znał widocznie wszystkie tujsze bolączki ludzi, wyjaśnił: — Chce się budować. a tu desek jeszcze nie dostał, to i zły. I z pretensjami! A do kogo? Do zarządu. Rok temu tyle go widziano przy robocie, a teraz wszystko chciałby od razu.

Kowal nie obraził się na buchaltera, wytłumaczył się po prostu:

— Tacy różni mówili nam: nie chodźcie do roboty, to wszystko diabli wezmą. I do żniw mało kto z nas pracował. No, było się głupim, bo było, ale latem... jakże zostawić chleb w polu, zbrodnia! Wyszło się do roboty i dniówek nabierało się dość, że starczy i dla rodziny i dla bydła. A mieszkać chciałoby się godnie, jak człowiek.

A TERAZ MIESZKANIA...

Weszli do biura. Za buchalterią mieścił się pokój zarządu. Tam usiedli przy stole.

Gryniewicz wyjął plan sytuacyjny dachnowskiej ziemi. Spojrzeli nań ciekawie, choć go już znali i choć o nim już mówili.

— Jeszcze raz — wyjaśnił agronom — przemyslałem wszystko dokładnie. Zobaczcie, jakie zaszyły zmiany.

Jan Pacholek wziął szkic do ręki i długo mu się przypatrywał. To samo uczynili po kolei inni. Mieli pewne wątpliwości, wyraził je przewodniczący: — Za wiele przeznaczacie na paszę, krow mamy przecież kilkanaście!

— Otóż to, — Gryniewicz ożywił się nagle — nie można kierować się tym co jest, a tym, co ma być. Trzeba u was rozwinąć hodowlę na wielką skalę, bo macie poza ornym polem prawie 400 hektarów łąk, pastwisk i lasów, które również użyć można na wypas. Paszy zaś starczyć musi nie tylko na spółdzielczę, ale i na hodowlę przyzagrodową. Ile to Maciołek wziął siana, wyki, słomy, pośladu? Przecież nie dla siebie, a dla przychówku.

Maciołek przytaknął: — Prawda.

Pacholek przypomniał sobie jednak nieszczęsną oborę.

— A gdzie pomieścimy krowy?

— Przeciekający dach, — zapewnił Gryniewicz — niewielka rzecz. Z Ukrainy przywieźli nasi chłopci przysłowie: „Jaki przewodniczący, taki kolchoz”, przyciśnięcie BPP i obora będzie jak się patrzy.

Przewodniczący zaczerwienił się, agronom zaś ciągnął dalej: — Jednej obory będzie wkrótce mało, bo spółdzielnia to nie tylko wspólne grunta i zespołowa praca, to również wspólne budynki gospodarcze i nowa osada z domem, dla każdego. Musicie się teraz budować, bo inne trudności macie już poza sobą, a sześciopolówka zwiększy jeszcze plony. Już tegoroczny podział dochodu wypadł u was nienajgorzej.

— Za 100 dni — pochwalił się Kowal — miałem tyle, co u siebie w rok. Chłopi z sąsiednich, nie spółdzielczych wiosek, kupują u nas zboże, nawet ziemniaki... Znalazło by się u nas pieniędzy na budulec, ale jak go dostać?

— Jak?

Gryniewicz powtórzył pytanie w taki sposób, jakby zwracał się z nim do przewodniczącego.

— Mówili mi — rzekł ten wreszcie — że w staraniu się o materiały budowlane mamy pierwszeństwo.

Powstał, przeszedł się po pokoju, a później zwrócił się do Gryniewicza: — Wiem, o czym myślicie; są takie spółdzielnie, co to mają po dwie obory, magazyny, stodoły, kuźnie, żłobki, przedszkola, porodówki. A być powinno tak w każdej, a więc i w naszej. Do tego powinniśmy dążyć.

Jakby od tego obrazu zrobiło się w izbie za ciasno, wyszli przed budynek i objęli wzrokiem rozległe pole. Przeszło tysiąc hektarów, ile to może dać wszelkiego pokarmu?

Pacholek Jan, wskazywał ręką: — Tam — rzekł — przy oborze, powinien powstać cały ośrodek gospodarczy, tu bliżej, osada. Trzyizbowe domki z cegły, kryte czerwonymi dachówkami.

Michał Kowal aż przymrużył oczy z zachwytu, w głowie tłukał mu się jedna tylko myśl: „Mieszkać jak człowiek, mieszkać jak człowiek...”

Wyobraźnia pracowała już teraz sama: wokół osady widzieli piękne łąny pszeniczne grubokłosej Ostki Mikulickiej, Żyta Ludowego, żółto kwitnącego rzepaku... Za ile to lat? Gdyby wzięli się do roboty, jak we żniwa, to może w 5 lat wszystko byłoby gotowe?

Warto na to pracować.

Podali Gryniewiczowi dłoń. Pożegnał się z nimi serdecznie i poszedł w kierunku wozu. Koń już wypoczął, wskoczył więc na siedzenie i podejmując lejce, cmoknął: — Wio, stary.

Jechał stępą. Przymrużył oczy i oddawał się rozmyślanom w miarowym turkot kół. Miał nadzieję, że spółdzielnia dachnowska wejdzie na stałą drogę rozwoju, przecież ludzie, którzy ujrżeli przyszłość, idą zwykle już sami na spotkanie tego czasu, który dla nich właśnie nadchodzi.

W powietrzu pachniało już wiosną. Ciepły wiatr muskał orne pola i topił ostatnie śniegi. Zielona run prostowała się ku słońcu.



Przewodniczący spółdzielni, Fachotek, z troską bada chorą owcę. Nie wiadomo co jej jest: straciła apetyt, pokłada się — co robić? Agronom objazdowy znać się musi na wszystkim, ale w tym wypadku Gryńiewicz decyduje bez namysłu: z hodowlą nie ma żartów, wezwać weterynarza, chronić przed chorobą stado.



Buhaj Kuba jest gniewny. Przed tygodniem założono mu w nozdrza kółko i wszystko go teraz drażni. Jeden Józef Cencora umie sobie z nim radzić, ale i tak wiele ma z nim kłopotu. Kuba pił już wodę, ale posłyszal kroki obcych ludzi, zwrócił więc do nich swój potężny łeb i natrafił na oko obiektywu.



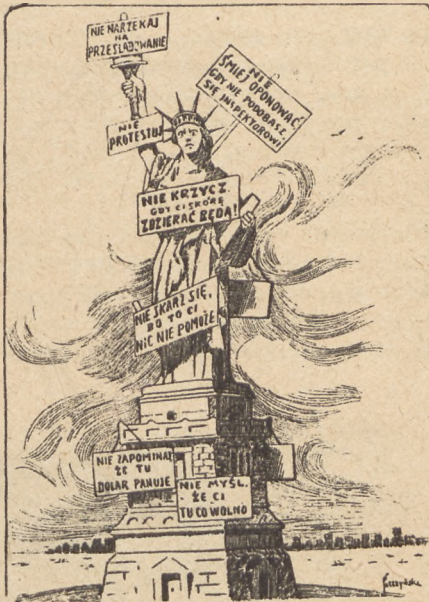
Michał Kowal marzy o nowym, wygodnym domu. Zarabia wiele, mógłby go sobie sam postawić i stara się już nawet o drzewo. Trochę cierpliwości. Spółdzielnie produkcyjne stawiają dla swych członków wzorowe, murowane osady. Oto nowowzniesiony, trzyizbowy dom spółdzielcy Futymy z Jurowiec koło Sanoka.

ŚWIAT przypomina!

Plan Marshalla, Pakt Atlantyczny, bazy amerykańskie, rasizm amerykański — wszystko to nie zrodziło się w ostatnich miesiącach, ani też nawet w ostatnich latach. Żądza panowania nad światem amerykańskich miliarderów rośnie od dziesiątków lat, zagrażając światu.

Oto dwa wiersze i dwa rysunki z „Muchy“ sprzed lat przeszło czterdziestu!

Pycha ich zgubi



Rockefeller
Vanderbilt | miliarderzy amerykańscy
Morgan

VANDERBILT

Zginie, kto wbrew nam się sprzysięga,
Bo myśmy pierwsza dziś potęga.

ROCKEFELLER

Cóż przy nas działa i dreadnoty!*)

MORGAN

Cóż nam zasady albo cnoty!

VANDERBILT

Cnota na ludzkiej scenie życia,
Jest też, jak nafta, do nabycia.
Tej starczy tysiąc — ta się ceni
Na milion, gdy jej dasz z kieszeni,
Lecz nie ma takiej, co w swej dumie.
Nie oprze się miliarda sumie.

ROCKEFELLER

Wiecie co: pomysł wpadł mi złoty:
Trust wszechświatowy stwórzmy cnoty.
Z obu ją półkuł skupim wszędzie,
Niech w naszych rękach ona będzie
I będą wtedy, jak należy,
Źródłem cnót wszystkich —
miliarderzy.

VANDERBILT

Na miliardera — pomysł głupi.
Któż taki towar od nas kupi!
To nie angielska pieczeń z rożna,
Bez cnoty się wszak obejść można.

MORGAN

Inna rzecz: woda, chleb, powietrze.

VANDERBILT

O!... Tu masz rację, luby Pietrze,
Powietrze skupić, złączyć w truście.
To jest interes w moim guście.
Pomyślmy... gdyby się udało.
Zakupić atmosferę całą
I potem ją, na hurt i detal,
Jak sól sprzedawać albo metal.
To moglibyśmy, bez wątpienia,
Zostać panami wszechstworzenia.

*) Pancernik.

MORGAN

Możem dać radę i tej sztuce.

ROCKEFELLER

Na pierwsze studia milion rzuć.

VANDERBILT

Bo miliardowi chcieć być wrogiem,
To samo, co się mierzyć z Bogiem.

MORGAN

Tak! Światu dziś umiłowani
Myśmy bogowie.

GŁOS ZA SCENĄ

Nie!... Szatani!
(Mucha, Nr. 49 z 2 grudnia 1910 r.)

Wyrusza w świat

Za morza, na Łąd Stary
Z Nowego Łądu bram,
Opchawszy się w dolary,
Wyrusza w świat Wuj Sam.

Mknie olbrzymiemi stopy
Handlarski stary lis,
W koncercie Europy
Chcąc śpiewać swoje cis.

Choć w Azji dostał finfy,
Zapędzon trochę w ką,
Mknie, ufny w swoje tyńfy,
Na afrykański łąd.

Tam zaczął grać w loterię,
W zaborczą trąbkę dąć
I pragnie dziś Liberię
Wraz z murzynami wziąć.

Energia wielkich czynów
Pchnęła go na ten szlak,
Bo widać mu Murzynów
Do lynchu w domu brak.

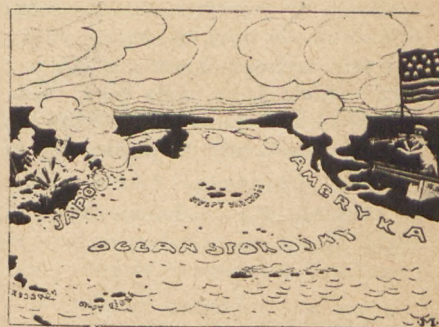
Europa konkurentów
Nie pragnie nowych mieć,
— Hej! — woła, pełna wstrętów —
Siedź w Ameryce, siedź!

— Hands off! Zdaleka ręce!
Powiada im Wuj Sam —
Gdzie idę i jak kręcę,
Do tego zasię wam.

— Niech nosa nikt nie wtyka,
Do mych domowych sjęst,
Albowiem Ameryka
Dla Amerykan jest.

— W zaborczej mi ochocie
Nie zbraknie sił i tchu,
Kto ma milionów krocie,
To wszystko wolno mu.

(Mucha, Nr. 34 z dnia 19 sierpnia 1910 r.)



Państwo kanału Panamskiego.

CZERWONE KWIATY

OPOWIADANIE HINDUSKIE

WIDYWAŁEM go często przed fabryką. Miał około dwunastu lat, był ciemny, ospowaty i chudy. Prawie codziennie przychodził pod przedziałnię — rano, gdy robotnicy schodzili się na apel, w czasie przerwy obiadowej, a nawet wieczorowej, gdy opuszczaliśmy gmach fabryczny, by iść do domu. Nie przychodził tu w poszukiwaniu pracy, gdyż — był ślepy. A w naszym kraju można mieć najlepszy wzrok i być bezrobotnym, a cóż dopiero mówić o ślepcu. Dla ślepcy jedynym możliwym zajęciem jest żebranie.

Lecz ten ślepy chłopiec był sprytny. Nie żebrał. Posiadał cienki, lecz bardzo piękny i dźwięczny głos. Trzymał w ręce szereg książeczek z pieśniami i te książeczki ofiarowywał przechodniom po jednej anna za egzemplarz. Jednocześnie śpiewał piosenki z filmów, bardzo popularne wśród naszych robotników.

Po ciężkim dniu pracy, kiedy człowieka każdy miesiąc boli, a zarobek ledwie wystarcza na chleb, kiedy nie ma właściwie żadnej przyjemności, żadnej rozrywki, wielu pije „tadi“ (tani samogon), lub chodzi do kina. Ja nie biorę „tadi“ do ust, lecz do kina chodzę chętnie. Jak wynika z filmów oglądanych przeze mnie, ludzie głównie zajmują się miłością, wszyscy oni są bądź zakochani, albo zakochują się na chwilę, a czasami najpierw są zakochani, a potem umierają. Zastanawiam się często nad tym, kiedy ci ludzie pracują, kiedy idą do fabryki i skąd mają pieniądze na te wspaniałe stroje, skoro ceny są tak wysokie. Nie rozumiem skąd biorą pieniądze na tak wystawny tryb życia. My tu nie potrafilibyśmy nagromadzić takiego bogactwa, nawet gdybyśmy żyli siedem razy dłużej.

Na filmach widzi się zresztą i inne dziwne rzeczy. Na przykład, bogaci zakochują się w biednych, syn właściciela fabryki kocha się w córce robotnika, albo córka właściciela przedziałni pada na kolana przed synem zwykłego chłopca. Wreszcie właściciele fabryk wyrzekają się swojej miłości do pieniądza i stają się filantropami. Chciałbym, żeby ktoś powiedział, gdzie szukać takich fabrykantów i ich córek. W rzeczywistości nawet majstrzy nie raczą mówić do nas po ludzku. Mimo to, trzeba przyznać, że kino to przyjemna rozrywka i tania, bo kosztuje zaledwie cztery anna. Przed pójściem do kina często kupowaliśmy książeczki od ślepego chłopca, czytaliśmy treść filmu, słuchaliśmy jego piosenek, nucąc razem z nim. Za to płaciliśmy mu jedną anna.

* * *

Lecz pewnego dnia postanowiliśmy rozpocząć walkę. Przyszli towarzysze spod czerwonego sztandaru. Przychodzili i przedtem, lecz ja nigdy nie mogłem się zdecydować, by przystąpić do ich związku. Cały dzień pracowałem. Czasami szedłem wieczorem do kina, by wrócić do domu, nucąc nową piosenkę. W domu zjadłem kawałek suchego chleba i kładłem się spać, podziękowawszy Panu Bogu za ten suchy chleb. Lecz nagle ceny zboża strzeliły w górę, a węgiel, który przecież jest artykułem pierwszej potrzeby, był do nabycia już tylko na czarnym rynku. Zdawało się wtedy, że płaca moja obniżyła się czterokrotnie.

Byłem stale głodny, dzieciaki były chude i obdarte i nie wystarczało mi nawet na komorne. Nie chodziłem już do kina. Do niedawna jeszcze nuciłem stare piosenki, często wymyślałem własne melodie, lecz później już nie potrafiłem. Nie potrafiłem ani śpiewać starych pieśni, ani wymyślać nowych.

Toteż gdy robotnicy przegłosowali strajk, przyłączyłem się i ja. Strajk nie należy do rzeczy przyjemnych. Człowiek, przyzwyczajony do stałej pracy, nie potrafi cieszyć się przymusową bezczynnością. Strajk to znaczy jeszcze mocniejsze

zaciśnięcie pasa. Nie mamy kont bankowych, z których moglibyśmy czerpać w razie strajku.

Zorganizowaliśmy więc strajk i był to pierwszorzędny strajk. Nikt nie poszedł do pracy, z wyjątkiem garstki łamistrajków. Byliśmy szczęśliwi. Policja była wszędzie, lecz my gadaliśmy sobie spokojnie, stojąc w małych grupkach przed przedziałnią. Ślepy chłopiec przyszedł jak zwykle i jak zwykle śpiewał, lecz oczywiście nie miał komu sprzedać ani jednej książeczki. Próbował oczarować nas swoim miękkim, ciepłym głosem, lecz nikt nie sięgnął do kieszeni. — Jesteśmy w pełni strajku, bracie, i nie wiemy, jak długo on potrwa. Anna to też pieniądz. Można za nią kupić porcję prażonej kukurydzy i żyć cały dzień!

Często muszę się śmiać, gdy słyszę jak ludzie mówią: „robotnicy strajkują, bo podburzają ich agitatorzy“. Być może nie wiedzą o tym, że robotnicy nie jedzą kurcząt w czasie strajku. Muszą patrzeć jak dzieci ich przymierają głodem, jak żony ich gotują trawę, toteż zaciskają zęby, przemykają powieki i wychodzą z domu, by iść pod fabrykę i stanąć przed bramą. Stoją tam przed bramą, lecz nie wchodzi. Kusi ich perspektywa zarobku, lecz pozostają na zewnątrz.

No, ale wróćmy do opowiadania. Ślepy chłopiec, zmęczony śpiewaniem, poszedł na most i stanął, oparłszy się o skrzynkę pocztową. Widać było, że jest bliski płaczu. Był równie przygnębiony, jak i my. Podszedłem doń powoli.

— Ile książeczek sprzedałeś dzisiaj? — spytałem go.

— Ani jednej.

— Teraz nie sprzedasz tu nic.

— Dlaczego?

— Bo tu jest strajk, robotnicy nie pracują.

— Dlaczego? Czy są chorzy?

— Nie, nie są chorzy. Zresztą być może, że jest to rodzaj choroby. Kiedy człowiek jest bosy, nagi i głodny, kiedy nie ma chwili spokoju, to jakże może pracować?

Zwilżając suche wargi, powiedział: — Nie sprzedałem dziś ani jednej książeczki. — A później dodał: — Tamtego dnia, kiedy powiedziano mi, że zyskałobyśmy niepodległość, też nic nie sprzedałem. Ludzie tańczyli na ulicach ze szczęścia.

— Dlaczego sam nie tańczyłeś?

— Byłem głodny.

Zamilkłem. Po chwili wyjąłem z kieszeni jedną anna i podałem mu. Nie przyjął jałmużny.

— Jestem ślepy, lecz nie jestem żebrakiem. Mój ojciec pracował w tej przedziałni. Zginął w wypadku.

— Jakto?

— Został zmiażdżony przez maszynę. Była to wina majstra.

— Weź tę anna — powiedziałem.

— Nie, nie wezmę. — Zaciśnął mocno wargi. Odszedłem.

* * *

Widywałem go całodziennie. Codziennie przynosił swoje książeczki, lecz nikt ich nie kupował. Śpiewał jak zwykle, a gdy był zmęczony, opierał się o skrzynkę pocztową.

Kiedyś powiedziałem do niego: — Tu jest strajk i nikt nie ma ochoty słuchać filmowych piosenek. Idź gdzie indziej.

— Dokąd mam iść, nie znam innej drogi.
Powiedziałem: — Idź do Fortu. Tam żyją bogaci. Tam sprzedasz swoje książeczki. Chodź, zaprowadzę cię.
Zaprowadziłem go do Fortu.
Lecz nazajutrz wrócił.
— Tamci oglądają tylko angielskie filmy. Piosenek filmowych słuchają przez radio. Nie kupują moich książeczek.

Potem przyszli ci spod czerwonego sztandaru. Z nimi przyszli robotnicy z wielu innych przedziałni. Staliśmy razem, wznosiliśmy okrzyki i śpiewaliśmy rewolucyjne pieśni. Śpiewając zauważyłem, że ślepy chłopiec zbliża się do nas. Sam śpiewał cichutko, aż nauczył się naszej melodii. Potem zaczął śpiewać na cały głos, a my przyłączyliśmy się do niego. Gdy skończyliśmy śpiewać, wszyscy gorąco chwalili ślepego chłopca. Robotnicy podnieśli go wysoko. Dali mu do ręki czerwony sztandar i mówili:

— To przecież syn Stryja Fazlu. Fazl-ur-Rehman pracował w naszej przedziałni. To jest syn Stryja Fazlu.

Widziałem, jak na twarzy chłopca zjawiał się rumieniec szczęścia.

— Bardzo podoba mi się wasza piosenka — powiedział z przekonaniem.

— To jest nasza pieśń — powiedziałem.

— Dali mi sztandar do ręki. Dlaczego? — spytał. — Przecież jestem bardzo młody.

— Jesteś synem męczennika, synem Stryja Fazl-ur-Rehmana.

— Jakiego koloru jest ten sztandar? — spytał.

— Jest czerwony.

— Jak wygląda czerwony kolor?

— Nie potrafię ci chyba tego wytłumaczyć — powiedziałem. — Nigdy nie widziałeś przecież czerwonego koloru. Lecz, czekaj, spróbuję. Widzisz, kolor czerwony jest, jak krew serdeczna. Jest to kolor ciężkiej pracy robotnika.

Delikatnie obracał sztandar w dłoniach.

— Teraz już nie zapomnę tego koloru.

— Jakto?

— Nie mogę ci powiedzieć — roześmiał się. A po chwili dodał: — To była wspańska pieśń. Teraz nie chcę już śpiewać żadnych innych. Nie wiesz czasem, czy są jeszcze inne podobne piosenki?

Rozejrzałem się dokoła i szepnąłem: — Nie mów nikomu, lecz ja sam komponuję pieśni. Nie są one zbyt dobre. Wstydę się je komukolwiek pokazać.

Powiedział: — Ty skomponujesz pieśń, a ja ją będę śpiewał. Napisz pieśń czerwoną, jak ten sztandar, dobrze?

Nocą napisałem prostą, grubo ciosaną, niewykończoną pieśń. Napisałem ją z wielkim trudem, lecz włożyłem w nią kawał serca. Wlałem w tę pieśń całą gorzkość i cały ból mojego istnienia, cierpienie mojej żony i głód moich dzieci. Potem zaniósłem tę tęskną, nieszczęśliwą pieśń do mojego ślepego przyjaciela. A on, śpiewając, z kolei wlał w tę pieśń całą świadomość swego kalectwa, cały ogromny lęk swojej umęczonej duszy, całe światło swego ślepego świata. A gdy zaśpiewał ją, to zdało się, że tysiąc nagich mieczy tańczy przed bramą przedziałni. Twarze strażników poczerwieniały ze złości. Tłum robotników zaczął napierać na smach. Dyrektor wezwał wojsko...

Poszliśmy do domu.

* * *

W ten sposób upłynęło kilka dni. Nasze oszczędności kończyły się. Nasze nadzieje upadały jedna za drugą. Niektórzy z nas zaczęli mówić o powrocie do pracy. Właściciel przedziałni nie chciał ustąpić na krok. Arbitrzy zwalali winę na nas. Gazety, należące przecież do kapitalistów — wymyślały nam. Nikt nie przychodził z pomocą. Byliśmy sami, zupełnie sami. Nie widać było końca tego wszystkiego. Wreszcie wielu robotników postanowiło powrócić do pracy. Próbowaliśmy ich przekonać, lecz nie chcieli już nawet słuchać.

Byłem smutny. Mój ślepy przyjaciel też był przygnębiony. Szliśmy obok siebie poważnym krokiem.

— Jutro robotnicy powrócą do pracy — powiedział.

— Tak jest.

— I ty też pójdziesz pracować?

— Nie.

— Co masz zamiar robić?

Nie odpowiedziałem.

— Dali mi czerwony sztandar do ręki — powiedział znowu.

Znów nie odezwałem się.

Przechodziliśmy właśnie koło kwaciarni. Zatrzymał się i stał w milczeniu przez dłuższy czas. Potem powiedział:

— Jakie piękne kwiaty. Jak pięknie pachną. Chciałbym otrzymać kiedyś kwiaty, masę kwiatów.

* * *

Nazajutrz już o świcie byliśmy obydwaj przed bramą przedziałni. On trzymał w ręku czerwony sztandar i śpiewał naszą nową pieśń. Nigdy przedtem nie napisałem lepszej pieśni. Nigdy przedtem nie śpiewaliśmy piękniej. Był to, jak gdyby ostatni, rozpaczliwy wysiłek. Jak ostatni promień światła, który nie chce ustąpić przed nadciągającą ciemnością. Jak pot nieustannej pracy zamieniony w rzeke pieśni, mocnej i niezniszczalnej.

Nikt nie przekroczył wrót bramy. Każdy nowy przybysz przyłączał się do pieśni. Brama fabryczna była szeroko otwarta, lecz fabryka świeciła pustkami. Spostrzegłszy, że sytuacja obraca się na ich niekorzyść, łamistrajki zaatakowali nas. Przyjeliśmy walkę. Posypały się strzały. Ślepy chłopiec padł, lecz natychmiast inny robotnik podniósł jego sztandar. Podbiegłem i wziąłem chłopca w ramiona. Gdy wydostałem się z tłumu zacząłem biec w stronę szpitala.

W szpitalu kilku robotników zebrało się dokoła jego łóżka, gdyż doktor oświadczył nam po prostu, że chłopcu pozostało już tylko kilka godzin życia.

Po chwili chłopiec otworzył oczy:

— Nikt nie wszedł do fabryki? — zapytał.

— Nie — odpowiedziałem.

— Ani jeden człowiek?

— Ani jeden.

Wzdychając z ulgą powiedział cicho:

— Dali mi sztandar do ręki.

Łzy zakręciły mi się w oczach. Pielęgniarka pogłaskała go po głowie. Nozdrza ślepego chłopca zadrżały.

— Jaki piękny zapach. Kto tu ma kwiaty?

Pielęgniarka była uperfumowana. Chciała coś powiedzieć, lecz zrobiłem znak ręką, więc zamilkła. Postałem szybko jednego z przyjaciół po kwiaty.

— Kto tu ma kwiaty? — spytał raz jeszcze.

— Kwiaty są w kwaciarni — odpowiedziałem. Poprosiłem jednego z naszych przyjaciół, by pobiegł i przyniósł ci bukiet.

Zamilkł. Po chwili przyjaciel nasz wrócił z naręczem jaśminów. Włożyłem je między drżące dłonie ślepego chłopca.

Białe kwiaty jaśminu odcinały się od jego śniadych rąk.

— Jakie piękne kwiaty! Jaki wspaniały zapach! Jakiego są koloru — spytał i przytulił kwiaty do policzka. Twarz jego jaśniała szczęściem.

— Są czerwone, prawda? Czerwone Kwiaty! — krzyknął.

Pielęgniarka otworzyła usta, by coś powiedzieć, lecz znów powstrzymałem ją.

— Tak, bracie. Są czerwone.

— Czy tak czerwone jak nasz sztandar? — zapytał. Jak krew serdeczna?

— Tak — odpowiedziałem, z trudem powstrzymując łzy. — Tak, bracie, te kwiaty są czerwone, jak krew.

— Są piękne — westchnął i powoli dodał: — Bardzo piękne. Sliczne czerwone kwiatki. Chciałbym się skryć w powodzi czerwonych kwiatów...

Raz jeszcze przytulił je do policzka i zamknął oczy — na zawsze.

Na sali ktoś zaszlochał, ktoś ukrył twarz w dłoniach.

Dzisiaj nie ma go już między nami. Odwiedziłem jego grób. Zaniedbany, opuszczony grób. A gdy stałem nad tym grobem, usłyszałem jego głos, pytający mnie:

— Powiedz, bracie. Kiedy zakwitną na moim grobie czerwone kwiaty?

Odpowiedziałem: — Młody przyjacielu, dzisiaj opowiem historię twojego życia. I słuchaczom moim zadam to pytanie.

Tłumaczyła MIRA MICHAŁOWSKA



TANIO i ŁADNIE

SPACERUJĄC po ulicach Warszawy (przeważnie o laskach—krzywy uśmiech pod adresem ZOM-u) tyle uwagi musimy poświęcić zdradliwym, złodowaciąłom grudom śniegu... że zupełnie zapomnieliśmy o przedwiośniu — i kalendarzowym i w modzie.

A zatem — uderzamy na alarm: już czas, już czas, pomyśleć o płaszczu wiosennym, który albo kupimy gotowy w PDT — albo uszyjemy w CPLIA.

Jak ma wyglądać?

Może być (patrz model u góry) z szarej wełny albo samodziału w pepite, reglanowy, z paskiem (konieczne — i to z fantazyjną klamrą!), zapinany na dwa guziki, z wąskimi kłapkami i szerokim, stojącym kołnierzem. Rękawy, bezwarunkowo! — tzw. „popie”.

Albo też: z grubej, włochatej wełny brązowej (albo „flauszu”) — także z paskiem. Dla odmiany nie regan, zapięcie kryte, kieszenie, rękaw z mankietami, a kołnierz z szerszymi kłapkami.

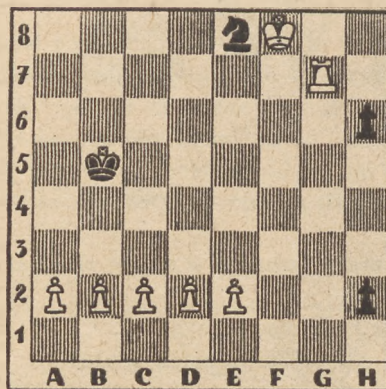
Jeśli nas chwilowo nie stać na nowy płaszcz — ze starego płaszcza szyjemy sobie wdzianko (albo kupujemy nowy „flausz”).

W połączeniu z samodziałową spódnicą (o ton jaśniejszą) i sweterkiem, o ton ciemniejszym, tworzy efektowny komplet, którego będą nam zazdrościły przyjaciółki, a który bardzo będzie się podobał naszym przyjaciółom.



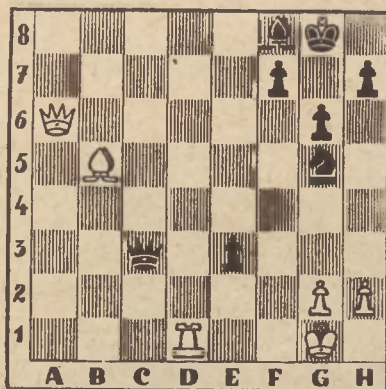
SZACHY

KONKURS A — ZADANIE 19 (autor W. Korolkow)



Białe zaczynają i wygrywają.
Kontrola diagramu: Białe: Kf8; Wg7; pa2, b2, c2, d2, e2. Czarne: Kb5; Se8; p:h2, h6.

KONKURS B — ZADANIE 20



Pozycja ta pochodzi z partii rozegranej w 1950 r. podczas jednego z londyńskich turniejów.
Jak czarne wygrały?

PARTIA Nr. 17

grana w VIII rundzie mistrzostw Pra-
gi w listopadzie ubiegłego roku.

OBRONA KRÓLEWSKO-INDYJSKA

Białe: Pachman Czarne: Kottner
1. d2—d4 Sg8—f6 2. c2—c4 g7—g6
3. g2—g3 Gf8—g7 4. Gf1—g2 d7—d6
5. e2—e4 0—0 6. Sg1—e2 e7—e5 7.
Sb1—c3 e5:d4 8. Se2:d4 Sb8—c6 9.
Sd4—c2 Gc8—g4.

Czarne zmuszają przeciwnika do posunięcia 10. f3, chcąc w ten sposób ograniczyć sferę działania Gg2. Dotychczas w tej pozycji grywano 9... Ge6.

10. f2—f3 Gg4—e6 11. b2—b3.
Silniejsze było 12. Se3.
11... Sf6—d7 12. Gc1—b2 f7—f5.

Czarne podrywają centrum białych, wykorzystując swoją przewagę w rozwoju.

13. e4:f5 Ge6:f5 14. 0—0 Sd7—c5 15.
Hd1—d2.

Paruje groźbą 15... Sd3, na co teraz nastąpiłoby 16. Ga3.

15. ... Gf5—d3 16. Wf1—d1.

W ten sposób białe nie dopuszczają do 16. ...G:c2 17. H:c2 Sb4 z dalszym Sbd3.

16. ...Hd8—d7 17. Sc2—e1 Gd3—f5
18. Sc3—d5 Wa8—e8 19. Gb2:g7 Hd7:g7
20. Sd5—e3 Gf5—c8 21. Se1—c2 g6—g5!

Nie dopuszcza do 22. f4.

22. Se3—d5 Gc8—f5 23. Sc2—e3 Gf5—g6 24. Se3—g4 Sc5—e6 25. Wd1—f1
h7—h5 26. Sg4—f2 Sc6—e5 27. Sf2—e4 Gg6:e4.

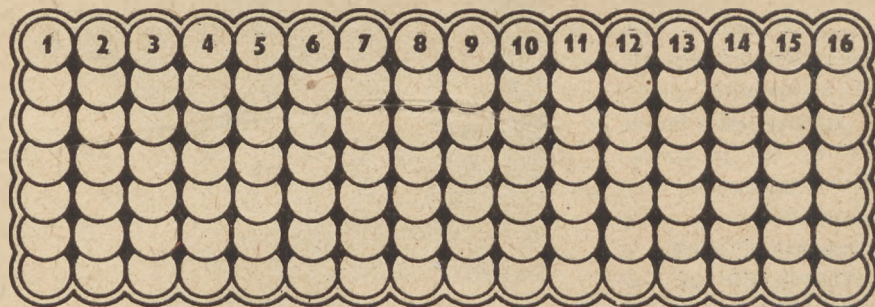
Nie można grać 27. ...S:f3+ 28. G:f3
W:f3, gdyż po 29. Se6+! białe wygrywają.

28. f3:e4 Se6—d4! 29. Kgl—h1 c7—c5 30. Sd5—e3.

W tej pozycji przeciwnicy zgodzili się na remis. Czarne znajdowały się w silnym niedoczasy, co przeszkodziło im próbować gry na wygraną.

ROZRYWKI UMYŚŁOWE

PARAGRAM



Do pionowych rzędów podanej figury wpisać 16 wyrazów siedmioliterowych o poniższych znaczeniach. Następnie z każdego z nich skreślić jedną literę tak, aby pozostałe litery (bez przedstawiania ich) utworzyły 16 nowych sześcioliterowych wyrazów. Skreślone litery czytane kolejno dadzą rozwiązanie.

ZNACZENIE WYRAZÓW: 1) Duplikat kartki z bloczku kasowego, 2) Drogo-cenny metal szaro-biały, 3) Pamiątkowy przedmiot lub budowla z dawnych czasów, 4) Współuczestnik gry, 5) Płat wosku z miodem wykrojony z ula, 6) Słowarzyszenia, zrzeszenia, 7) Inaczej „wyborca”, 8) Zerznięcie, spuszczenie drzewa, 9) Ten, który coś uczynił, winowajca, 10) Najwyżej położone miejsca widowni teatralnej, 11) Sprzęt lekkoatletyczny, używany do rzutów, 12) Francuska jednostka wagi mająca około 100 kg, 13) W mitologii greckiej: nimfa morska, jedna z Nereid, 14) Przodek rodziny, 15) Ssak drapieżny z rodziny kotów o centkowanym ubarwieniu, 16) Odźwierny, szwajcar.

Rozwiązania należy nadsyłać w terminie 10-dniowym od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji z dopiskiem na kopercie „Rozrywki umysłowe”. Wśród Czytelników, którzy nadesłali prawidłowe rozwiązania, rozlosowanych zostanie 20 nagród książkowych.

ROZWIĄZANIE ZADANIA Z NR 2 (25)

KRZYŻÓWKA. Poziomo: amator, kolos, cebula, Iberia, Oberon, Jemen, motek, seter, bar, Aron, notes, mada, ton, talar, puzon, welon, pula, makaron, podarek, oset, kolet, karat—wspak, walor, kak, Abel, topot, Kola, lak, nadir, rumor, senat, moment, numer, apetyt, Twain, nasada. Pionowo: aromat, metal, borowa, abażur, aceton, korek, teren, wasal, set, obok, Terek, nerw, run, naloł, łania, Solon, woda, Kajetan, kapitan, eter, polor, limes, polot, Men, ober, puder, rota, sen, Mulat, kumys, bazar, kometa, mikado, etalon, ranek, kartka.

Za dobre rozwiązanie zadania z nr. 2 (25) nagrody książkowe otrzymują: B. Galicki — Wrocław, ul. Lowiecka 21, R. Górkiwicz — Warszawa, ul. Radzyńska 107, S. Grudziński — Komorów, ul. Krasińskiego 14, J. Janicki — Inowrocław, ul. Sienkiewicza 17, H. Jurkowska — Wrocław, ul. Rodakowskiego 5, B. Kalinowski — j. w., N. Katwajć — Zakopane, „Konradówka”, E. Kamionka — Zgierz, ul. Sieradzka 10, M. Kłaput — Opole, ul. Dzierżonia 1, A. Lis — Rawicz, ul. Sienkiewicza 33, A. Kwiatkowski — Wałbrzych, ul. Uzdrowsko-wa 19, M. Łabecka — Katowice, ul. Astrów 2, A. Mackiewicz — Poznań, ul. Jackowskiego 53, C. Pawlikowski — Szupsk, ul. Żymierskiego 14, K. Płocki — Łębnik, ul. Armii Polskiej 39, Z. Podolczak — Jelenia Góra, ul. Warszawska 43, J. Prawdzic — Szczecin, ul. Żwirki 7, M. Ściechowski — Przedmieście Różne, pow. Iłża, W. Wasilewska — Warszawa, ul. Wołoska 82, K. Zabiocki — Kraków, ul. Poznańska 13.

Sprawdziło się przysłowie o żdźble w oku bliźniego i belce we własnym. Redakcja nie szczędziła Czytelnikom uwag dotyczących prawidłowego zapisywania posunięć — i sama „strzeliła byka”: już przy drugim posunięciu Redakcji zostały przestawione diagramy. Na szczęście Czytelnicy nie dali się wyprowadzić w pole chochlikowi korektorskiemu i zorientowali się we właściwym ustawieniu. Tym niemniej Redakcja postanowiła — za radą kilku Czytelników — nauczyć korektorów gry w szachy.

SZACHY I GRAFOLOGIA

Natomiast nikt w Redakcji nie jest grafologiem — i w związku z tym inna prośba do Czytelników: piszcie czytelniej! Otrzymaliśmy kilka odpowiedzi, gdzie niezwykle trudno było rozstrzygnąć: czy Czytelnik proponuje ruch e7-e6, czy też c7-c6. Nie brakło też odpowiedzi, w których ogromne trudności nastroczało odcyfrowanie nazwiska autora. Z Poznania otrzymaliśmy kartkę z posunięciem, ale bez nazwiska wysyłającego. Oczywiście w grze to nie przeszkadza, ale zmniejsza szanse otrzymania nagrody.

Przy okazji przypomnimy kilka przepisów naszego meczu. Można brać udział w rozgrywaniu zarówno jednego, jak i obu wariantów. Można włączyć się do gry i teraz, przy trzecim posunięciu, można przepuścić jedno lub kilka posunięć i potem grać dalej.

Czytelników, którzy nie brali dotąd udziału w naszym meczu, a chcieliby teraz włączyć się do gry, informujemy: Czytelnicy grają czarnymi i odpowiedź na przesunięcia Redakcji przysyłają na kartach pocztowych w określonym terminie. Co dwa miesiące Redakcja rozlosuje między Czytelników — uczestników meczu, nagrody książkowe: 1) za wytrwałość — dla szachistów, którzy nie przepuszczają żadnego posunięcia, 2) za trafność — dla tych, którzy zaproponują przyjęte ostatecznie posunięcia i 3) za pomysłowość — dla autorów najciekawszych zagrań.

TROCHĘ STATYSTYKI

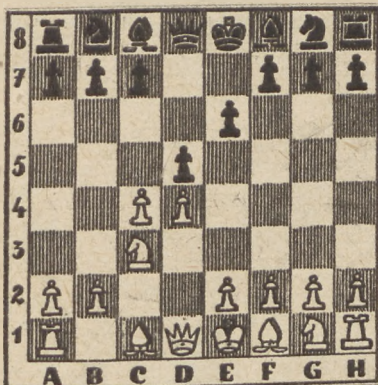
A teraz przejdźmy do samego meczu. Większość Czytelników nadesłała swe posunięcia w obydwu wariantach — partii W1 i W2.

Tym razem nie zaszła potrzeba rozbijania ich na dalsze. W wariantach pierwszym (d7—d5) najwięcej Czytelników, bo 53,6%, wypowiedziało się za posunięciem e7-e6. Zostało zatem ono przyjęte jako drugi ruch czarnych. Posunięcie c7-c6 zaproponowało 30% Czytelników, Sg8—f6 uzyskało 11,8% głosów, zaś reszta (4,6%) padła na inne posunięcia.

Większa zbieźność głosów wystąpiła w wariantach drugim (Sg8—f6). Tu posunięcie e7-e6 zostało zaproponowane przez okragę 60% Czytelników. Na d7—d5 padło 16,4% głosów, na g7—g6 14,7%, na inne posunięcia razem 8,9%.

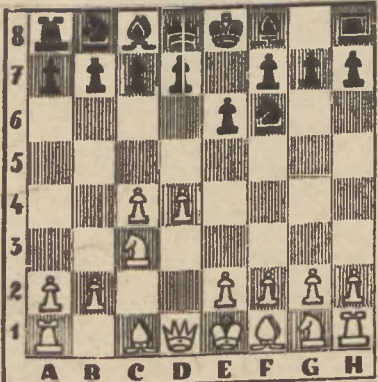
Po posunięciu białych, które w obu wariantach brzmi 3. Sb1—c3, nasze partie wyglądają następująco:

PARTIA W1



1. d2—d4 d7—d5 2. c2—c4 e7—e6 3. Sb1—c3

PARTIA W2



1. d2—d4 Sg8—f6 2. c2—c4 e7—e6 3. Sb1—c3

Czekamy teraz na trzecie posunięcie Czytelników w obu naszych wariantach. Kartę pocztową z odpowiedzią można wysłać najpóźniej we wtorek, 26 lutego br., na adres naszej Redakcji.



SZTAB ATLANTYDÓW. W ŚRODKU ADMIRAŁ McCORMICK.

PO BURZY NA ATLANTYKU

czyli

SŁÓW KILKA O DUMIE NARODOWEJ BRYTYJCZYKÓW

WOJCIECH BYLINA

PRAWIE przed rokiem, w lutym 1951 r. rząd duński opublikował „zgodę na mianowanie admirała amerykańskiego dowódcą marynarki wojennej państw paktu północno-atlantycznego”. W taki dość niezwykle sposób brytyjska opinia publiczna dowiedziała się, że flota wojenna Wielkiej Brytanii przechodzi bezpośrednio pod dowództwo Amerykanina.

To, co nastąpiło potem, trudno nazwać inaczej, niż burzą na Atlantyku. Na rząd labourzystowski potoczyły się burzliwe fale gniewu ze wszystkich stron równocześnie. Nie było wtedy ani jednego dziennika brytyjskiego, który nie zademonstrowałby w jakiś sposób oburzenia. Celowały w tym dzienniki partii konserwatywnej. Churchill był wtedy w opozycji...

W Izbie Gmin, 22 lutego 1951 r., premier Attlee wykrztusił wreszcie, że tak jest... to prawda... oficer amerykański został już wyznaczony na stanowisko... Prasa brytyjska rozszalała się jeszcze tego samego dnia.

„Daily Mail”: „Po tysiącu lat Brytania straciła panowanie nad Atlantykem... Postąpić tak, to znaczy wyrzec się niepodległości”.

„Daily Telegraph”: „Nie jest obecnie miłym zadaniem przypominać, jak ostro będzie naród brytyjski potępiał założenie, że dowodzenie w organizacji paktu atlantyckiego musi zawsze należeć do naszych amerykańskich przyjaciół... Należy ubolewać, że Churchill i inni musieli powiedzieć publicznie to, co należało mówić za zamkniętymi drzwiami...”

Warto wobec tego przypomnieć, co powiedzieli publicznie, leader opozycji JKMości i inni, w Izbie Gmin, 22.II.51.

Churchill: „Czyż nie było admirałów brytyjskich, zdolnych do objęcia tej funkcji? (głośnie oklaski). Czemu to się dzieje, że po tym, kiedyś się z taką przyjemnością zgodzili aby generał Eisenhower dowodził siłami zbrojnymi na lądzie — musieliśmy zrezygnować ze wszystkich pretensji, jakieśmy mogli mieć do dowodzenia morskiego na Atlantyku? (ponowne oklaski)... Jeszcze nie tak dawno nasza flota zatopiła 525 niemieckich łodzi podwodnych, wobec 174 zatopionych przez flotę amerykańską. Nikt mi nie powie, że jestem wrogo usposobiony wobec Stanów Zjednoczonych, ale nie wydaje mi się, że nasz kraj powinien być się tak upokorzyć...”

Nie lepiej było w Izbie Lordów.

Markiz Salizbury: „ciężki wstrząs dla kraju...”

Wicehrabia Templewood (jako sir Samuel Hoare był Pierwszym Lordem Admiralicji): „...sprawa dotknęła do żywego nasze uczucia narodowe...” flota królewska „jest niemal religią narodu brytyjskiego”, według cudzoziemców stanowi ona „wielką instytucję brytyjską”.

Wreszcie kropkę nad „i” postawił reakcyjny dziennik „Daily Mail”, powiadając: „...tam, gdzie praktyczne argumenty pro i contra są tak wyważone (gdyż Attlee bronił się „interesem” tzw. „obrony” państw zachodnich — W. B.), pozostaje wciąż jeszcze jeden niezbity argument, który przechyli szalę. Jest to duma narodowa!”

Minał niecały rok. Z opozycji pan Churchill przeszedł do władzy i jako premier rządu JKMości pojechał na rozmowę z Trumanem. Przy rozmowie nie byliśmy, toteż nie potrafimy powiedzieć, czy uczynił on cokolwiek w kierunku zgłoszenia pretensji brytyjskich, czy też po prostu zaakceptował fakt, że Wielka Brytania ma być zmieciona z drogi w

tej żywotnej dla niej sprawie. Może przekonał go artykuł reakcyjnego publicysty Dawida Lawrence’a, który w „New York Herald Tribune” napisał cynicznie, że gdzie jest siła, tam musi być odpowiedzialność...”

Lub może w ciągu roku Churchill nabrał przekonania, że nie ma admirałów brytyjskich mogących się równać z Amerykanami?

Dość, że 18 stycznia wydany został komunikat — niezwykle lakoniczny — o zgodzie Churchilla na mianowanie Amerykanina dowódcą atlantyckich sił morskich. Kapitulacja na całej linii.

Na domiar wszystkiego nastąpił zjadliwy komentarz Głosu Ameryki, który powiedział, że amerykański admirał nie będzie miał władzy nad wodami La Manche, gdyż tam rozpościera się władza... generała Eisenhowera!

Nas interesują w tym wszystkim dwa wnioski, które się nasuwają w sposób niezbity.

Pierwszy, że gdy chodzi o interesy zaborczego imperializmu, pojęcia takie jak „honor” czy „duma narodowa” nie istnieją w szeregach imperialistów, a jeżeli są wyciągane z ukrycia, to tylko dla celów przedwyborczej walki o władzę.

Drugi — że gdy chodzi o lokajstwo wobec Stanów Zjednoczonych, nie ma najmniejszej różnicy między labourzystami a wszystkimi lordami, admirałami i premierami z partii konserwatywnej.

Słusznie przecież pisał brytyjski tygodnik „New Statesman and Nation”, gdy przypominał w związku z podróżą Churchilla do Trumana, że

„pojechał nie jako równorzędny partner... lecz jako przywódca kraju, którego gospodarka i siły zbrojne zależą od polityki amerykańskiej”.

Churchill wiedział o tym wszystkim doskonale przed rokiem, toteż wykorzystał „burzę na Atlantyku” po to tylko, aby wbić gwóźdź w trumnę rządu Labour Party. Sam zaś zgodził się bezwstydnie na wszystko, co z takim wyrachowaniem, fałszywym patosem potępiał przed jedenastoma miesiącami.



KONTRAHENCI

RUSSELL POD PRĘGIERZEM

W n-rze 4 „Świata” Antoni Słonimski pisał o niesłychanym wystąpieniu filozofa angielskiego Bertranda Russella, który zalecał swoim rodakom, by potulnie czekali na nową wojnę, która przyniesie Anglii całkowitą zagładę. Ale — twierdził brytyjski filozof — to nieważne, że w tej wojnie wyginie cała ludność cywilna Wielkiej Brytanii. Ważne jest tylko, by ocaleli amerykańscy lotnicy atomowi.

Wystąpienie Russella spotkało się z ostrą krytyką czytelników pisma „Illustrated”, na którego łamach ukazał się jego artykuł. Redakcja otrzymała mnóstwo listów protestujących przeciwko stanowisku Russella. Przytaczamy poniżej wyjątki z tych listów, jako dowód, że w społeczeństwie angielskim istnieje silny opór przeciwko tym, którzy pragną zamienić ludność kraju w mięso atomowe na użytek amerykańskich ludobójców.

K. M. Hudson z Londynu pisze:

„Bertrand Russell radzi nam w swym artykule o przyszłej wojnie, byśmy z zimną krwią oczekiwali konfliktu... Ale Russell ma 79 lat, a ja mam 19. I nie mogę zachować spokoju na myśl, że może nie dożyję nawet 21 lat. Ja chcę żyć!”

Eric F. Russell z Hooton, hrabstwo Cheshire, pisze m. inn.:

„Bertrand Russell po-

wiada: skaczymy wszyscy razem do krwawej kąpieli. Oto jeszcze jeden przykład opętanego umysłu”.

Ronald H. Hill z Londynu pisze:

„Tylko bardzo nieliczne grono ludzi zgodzi się z poglądem, że w pewnych okolicznościach bomba atomowa może być dobrodziejstwem. Bomba atomowa to przykład nowoczesnego barbarzyństwa. Jej istnienia, ani użycia, nie da się w żaden sposób moralnie usprawiedliwić. Nawet najwybitniejszy filozof nie powinien się kusić o jej polityczne usprawiedliwienie”.

W. Brown z Londynu pisze:

„Stwierdziwszy, że w następnej wojnie wyginie ludność cywilna Wielkiej Brytanii, Bertrand Russell nawołuje, byśmy się do tej możliwości ustosunkowali ze spokojem i zimną krwią. Ale na tej wyspie jest wielu ludzi, którzy nie chcą się biernie pogodzić z myślą, że narodowi naszemu grozi zagłada. Wielki filozof powinien wołać o pokój. Zamiast podejmować próby usypiania naszej czujności, powinien nas uweźwać, byśmy zrobili wszystko dla zachowania pokoju”.

Oto orzeźwiający powiew życia, rozpraszający trupi zaduch atomowej filozofii Russella. Dobrze jest, że czytelnicy brytyjskiego tygodnika dali taką odprawę piewcy masowej zagłady.

JUŻ SA ZNOWU

Na liście reakcyjnych organizacji, zakazanych w Niemczech zaraz po

karzy, urządzających pogromy i rozbijających akcje postępowych orga-



Kufle i dekle — korporanckie godło

wojnie, znalazły się również korporacje studenckie.

Pamiętamy czym były korporacje w Polsce przedwojennej: twierdzą reakcji i kołtuństwa na uniwersytetach, szkoła faszystowskich bojów-

nizacji niezamównej młodzieży akademickiej, Młodzież postępową śpiewała o korporan-

tach: Czapeczka, laseczka, ak-selbancik, Bydlę wlane, korporan-cik...

W Niemczech korporacje były ostoją pruskich tradycji militarnych, a potem stały się wylegarnią hitlerizmu na wyższych uczelniach i wychowywały przyszłych ludobójców.

Nic przeto dziwnego, że w dobie rozkwitu neo-hitlerizmu w Niemczech zachodnich, pod troskliwym okiem amerykańskich okupantów, powróciły na widownię życia uniwersyteckiego również i korporacje. W Gettingen liczą one już 500 członków, w Mainz

1.500, w Monachium 3.500, w Marburgu 500. Jedną z korporacji w Kolonii głosi otwarcie, że „celem korporacji jest przywrócenie elicie czołowego stanowiska w narodzie”.

Pijani burszowie znowu, jak za dawnych lat, urządzają burdy na uniwersytetach zachodnio-niemieckich, terroryzują młodzież postępową i krzewią odwetową, militarystyczną propagandę na rzecz nowej wojny, pod starym hasłem: „Deutschland erwache!”

ROKOWANIA I KULISY

Chcecie wiedzieć dla-czego rokowania o rozejm w Korei trwają już osiem miesięcy? Dlatego, że Amerykanie uważają Koreę za poligon do-

powołał specjalną „grupę operacyjną” złożoną z najwybitniejszych ekspertów, by przygotowali odpowiedź na następujące pytania: „Czy warto



Namiot w Panmundżon

świadczalny. Oto co pisze na ten temat tygodnik „Time”:

„Pentagon (amerykańskie ministerstwo wojny) wcale się nie niecierpliwi. Najwyżsi dostojnicy wojskowi... doszli do wniosku, że obecny stan rzeczy jest bardzo korzystny... stwarza bowiem dogodny teren dla szkolenia wojska!”

„Departament Stanu...

przedłużać rokowania z komunistami? Jeżeli nie, to pod jakim pretekstem je zerwać: z powodu lotnisk, jeńców wojennych?...

„Do czasu znalezienia odpowiedzi na te pytania przedstawiciele USA w Korei nie opuszczają cyrkowego (!) namiotu w Panmundżon”.

Ten „cyrkowy namiot” należy sobie dobrze zapamiętać.

PRZESTĘPSTWO CO POŁ MINUTY

Korespondent brytyjskiego tygodnika „Illustrated”, Roland Wild, pisze z Nowego Jorku:

„Jednym z moich najbliższych sąsiadów w Nowym Jorku jest elegancko ubrany mężczyzna, którego często widuję, kiedy wychodzi ze swego luksusowego mieszkania, by wsiąść do wspaniałej limuzyny. Jest on przedsiębiorcą naftowym i właścicielem wielu nieruchomości. Nazwisko jego brzmi: Frank Costello — jeden z najpotężniejszych królów zbrodni na świecie.

Jego pozycja w społeczeństwie i fakt, że znajduje się on na wolności świadczy wymownie o rozwoju przestępczości w Ameryce. Co pięć minut ma tu miejsce zabójstwo lub morderstwo. Co trzydzieści sekund zdarza się kradzież. Codziennie notuje się w Ameryce około 150 napadów z bronią w ręku. Co rok ginie przeciętnie 36 policjantów. Przekupstwo i korupcja wśród policji kwitnie... Od roku 1938 przestępczość wzrosła o 25 procent”.

ZAPRZECZENIE URZĘDOWE

W prowincjonalnym dzienniku brytyjskim „Middlesborough Evening News” czytamy:

„Sztab Północnej Komendy w Yorku zaprzecza pogłoskom o brutalnym traktowaniu żołnierzy przez podoficerów w

obozie Catterick i stwierdza, że liczba samobójstw w tym obozie kształtuje się o wiele pomyślniej, niż w innych obozach”.

Pomyślniej — to znaczy jest ich więcej czy mniej niż gdzieindziej?

KUPON KONKURSOWY

Imię i nazwisko:

Zawód:

Adres:

Miejsce na odpowiedź
(numery odpowiadają numeracji zdjęć)

1.
2.
3.
4.
5.
6.
7.
8.

NOWY RZĄD EGIPSKI

Posel brytyjski oświadczył premierowi libańskiemu, iż nowy rząd egipski Maher - Paszy zawiadomił rząd brytyjski o gotowości przeprowadzenia rokowań z czterema mocarstwami w sprawie propozycji utworzenia dowództwa środkowego Wschodu, którą odrzucił poprzedni rząd egipski.



Rys. Szymon Kobylński

JAKA PASZA — TAKI MA(C)HER

TYGODNIK ILUSTROWANY

Redaguje Komitet

Wydawca: R.S.W. „PRASA”

Redakcja: Warszawa, Nowy świat 58. Telefony: Red. Naczelny: 6-10-69. Centrala 6-11-81, 6-12-88. Administracja: Wiejska 12. tel. 7-52-50. Prenumerata i Kolportaż: PPK „Ruch”, Oddział w Warszawie, ul. Srebrna 12. tel. 8-04-20 do 25. Prenumerata miesięczna zł 4.80 — kwartalna zł 14.40, półroczna zł 23.80, roczna 57.60. Należność za prenumeratę wpłacać do P.K.O. Nr 1-21040/110.

Zakłady Włókiendrukowe i Introligatorskie RSW „Prasa” — Warszawa, Okopowa 58/72 Zam. 63. Pap. rotogr. V/80 — 82 cm. 3-B-13132

Obrazki z Polski PRZED WRZEŚNIOWEJ

Gdy dziś cały kraj żyje pod znakiem dyskusji konstytucyjnej, często powracamy myślą do stosunków, które panowały w Polsce w latach 1918—1939. Dopiero przy tym porównaniu można ocenić jak wielkich rzeczy dokonała Polska Ludowa, jak wielkie są jej osiągnięcia w likwidacji ponurego spadku po rządach endecji i sanacji. Oto rysunki dwóch znakomitych artystów: Władysława Daszewskiego i Jerzego Zaruby, pochodzące z tamtego okresu.

Zostały one wybrane z albumu międzywojennej karykatury polskiej, który ukaże się w roku bieżącym nakładem „Czytelnika” w opracowaniu Jana Szeląga.



Rys. Władysław Daszewski (rok 1928)

Dowiadujemy się z gazet, że... „ilość bezrobotnych w Warszawie stale się zmniejsza”.



Rys. Władysław Daszewski (rok 1932)

Przemysłowcy węglowi chcą zniżyć płace robotników o 21%.

— Nie bójcie się! Nie obetniemy wam więcej niż 21%.



Rys. Jerzy Zaruba (rok 1932)

Po obniżeniu cen cukru i niektórych wyrobów monopolowych: Ceny spadają!



O nowej niższej pensji urzędników i obniżeniu dyrektorskich tantiem:
Gilotyna oszczędnościowa.



Rys. Władysław Daszewski (rok 1932)

Z CYKLU: „PEJZAŻE WARSZAWSKIE“



Pączki.



Pani i jej pies.



Rys. Jerzy Zaruba (rok 1938)
Reklamy.



NA PODBÓJ GÓR

WYRUSZYLI W TATRY, BESKIDY I GÓRCE RODOŃNICY Z ZAKŁADÓW PRACY, MŁODZIEŻ SZKOLNA Z MIAST I WSI. W MASOWYM RAIDZIE TATRZAŃSKIM PTK WZIEŁO UDZIAŁ 2993 TURYSTÓW-MARCJARZY Z GALEJ POLSKI (PATRZ ARTYKUŁ WEWNĄTRZ NUMERU)